Nr. 33. Lwów, Niedziela dnia 22. Kwietnia 1877 r. **Tom V.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcya:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracya:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

Uroczystość A. Mickiewicza
w Rzymie.

Wplątanym w torturowe koło niewolnego żywota będącego połowicznem tylko życiem, nienaturalną jakąś pośrednią formą między życiem a śmiercią — zaprzągniętym do ciężkiego pługa pracy na chleb powszedni dla ciała i ducha, prowadzonej wśród najgorszych i ze wszech miar wrogich warunków—opuszczonym od tych wszystkich, którzy mają władzę i potęgę, by każdy zamiar swój w dziejowy czyn zamienić: zdarzają nam się jednak w tej smutnej wędrówce naszej chwile prawdziwie radośne, w których czerpać możemy otuchę i posilenie do prac i walk dalszych. Kiedy arcydzieło którego z artystów naszych rozniesie szeroko po świecie jego imię, a wróg czy przyjaciel powiedzieć musi: to Polak! kiedy który z uczonych naszych nową zdobyczą wzbogaci umiejętność, a świat uczony z wdzięcznością pracę Polaka uznaje i imię jego w rzędzie pierwszych swych imion zapisuje — kiedy w ten sposób świat zmuszonym jest uznać niespożytą żywotność narodu, który mimo tak okropnych stosunków bytu, jeszcze nie przestaje zasług swych znosić do wspólnego skarbca ludzkości: wtedy silniej nam w piersi odezwie się ten niezłomnej wiary naszej artykuł: Nie zginęła!

Takie radośne uczucie musiał w Polsce obudzić piękny ów obchód pamiątkowy na cześć Adama Mickiewicza, urządzony przez urzędową reprezentacyę stolicy Italii, i mityng ludowy jaki po nim nastąpił. Była w tych objawach nie tylko wdzięczność odrodzonego ludu dla cudzoziemca, który bronił jego sprawy, była zarazem cześć oddana wielkiemu poecie polskiemu, zajmującemu w literaturze europejskiej jedno z miejsc naczelnych, był złożony hołd tej ojczyźnie, która wydała takiego poetę i takiego miłośnika wolności. Ci, którzy wszelkie objawy ludowe uważają jako czcze manifestacye, a chociaż przeciw pozytywnemu pojmowaniu spraw świata zawsze piorunujące prawią kazania, sami jednak nie uznają innej w bieżących dziejach siły nad zorganizowaną państwowo siłę materyalną, lekceważą sobie tę manifestacyę włoskiego ludu na cześć Polski i jej poety. Tylko bezpośredni i materyalny rezultat jest w ich oczach czynnikiem dalszych powodzeń naszej sprawy — po za tem nic u nich nie znajdzie uznania. Zapominają jednak o coraz wzmagającej się potędze opinii publicznej, która nieprzepartym prądem ogarniać musi szersze koła i porwie kiedyś za sobą nawet obojętnych i nieprzyjaznych, którzy w walce z prądem powszechnym zaginąćby musieli. Zapominają, że nie sama machina państwowa i militarna rządzi światem, ale że się te potężne machiny chcąc czy nie chcąc obracają z czasem w narzędzia myśli ludzkiej, w bezwiedne lub świadome organa wykonania tego, co zwyciężyło już pierwej w sferze myśli, przekonań, sumienia ludzkości. I dla tego każdy objaw, który dowodzi, że jeszcze imię nasze żyje w sumieniu ludów, że jeszcze żywotność nasza tkwi w ich przekonaniu, że jeszcze się myśl ich z naszą myślą wiąże i brata — musimy z uznaniem przyjąć i wdzięcznością, i nie wahamy się na objawy takie wskazać jako na źródło, w którem powinniśmy i możemy czerpać otuchę do wytrwania na naszej mozolnej drodze.

Ale są one zarazem źródłem, z którego możemy czerpać dla siebie praktyczną naukę, a obchód Mickiewicza w Rzymie bardziej niż jakikolwiek inny objaw tego rodzaju nastręcza do tego sposobność. Gieniuszowi wielkiego rodaka naszego zawdzięczamy, że o mury wiecznego miasta odbiło się tak potężnie imię Polski. I im więcej naród wyda mężów, którzy w świecie myśli przodować będą i nowe torować drogi — tem bardziej wzrośnie w siły wewnątrz, a w znaczenie na zewnątrz. Ale gieniusze, a choćby tylko większe talenta nie wzrosną na nieprzygotowanej, nieużyźnionej glebie. Przypomnijmy sobie, jaka praca złożyła się na to, by wydać Mickiewicza i cały ten zastęp pisarzy, który tak wysoko podniósł piśmiennictwo polskie od trzydziestych lat tego wieku począwszy. Cofnijmy się do owych czasów, kiedy jezuickie wychowanie skrzywiło myśl polską, tak jak mowę polską makaronizmami zakaziło, i kiedyśmy z wysokości złotego wieku spadli tak nisko, że wysuszona Alwarem umysłowa nasza gleba nie wydawała nic, coby czy to w dziejopisarstwie, czy w poezyi, czy w umiejętności, zaznaczało postęp. Jednostkowe usiłowania takiego Konarskiego obudzają zbawczą reakcyę przeciw temu zastojowi umysłowemu. Po latach pracy rozstrzelonej powstaje komisya edukacyjna, która w skupieniu i zorganizowaniu tej pracy, i skierowaniu jej przedewszystkiem na szkoły narodowe, szuka środka podniesienia umysłowego poziomu w narodzie. Szkoła krzemieniecka, Izba edukacyjna Księstwa Warszawskiego, uniwersytet wileński, to dalsze na tej drodze etapy. I dopiero na roli tak przygotowanej, tak użyźnionej, dopiero z tak podniesionego wykształcenia narodu, mógł geniusz Mickiewicza urość w taką potęgę, mogli powstać ci wszyscy, którzy zachowując i kształcąc mowę ojczystą, utrzymując w całej pełni ducha narodowego, świadcząc obec ludów o żywotności naszej, zachowali nam tem samem warunki odrodzenia w przyszłości.

Uczmy się więc! a nie zatracimy tych warunków odrodzenia, lecz wzmożemy je i spotęgujemy. *Uczmy się* — a żyć będziemy w ludzkości nie tylko wspomnieniem tych, co już legli dawno w mogile, ale i coraz nowemi zasługami żywych. Uczmy się! a znajdziemy i w sobie samych siły ku odrodzeniu niezbędne, i na zewnątrz pomyślne po temu warunki.

Mówi się wiele i pisze o oświacie ludu, — i słusznie. Nigdy dosyć do niej nawoływać nie można. Ale strzeżmy się, by wśród tego nie zapominać o oświacie klas — oświeconych. Nie ze wszech miar bowiem zasługują one na tę nazwę. Wiele w tem blichtru, pozorów bardzo wiele, zbyt mało gruntowności i wewnętrznego ujęcia. Pracujmy nad ludowemi szkołami, ale pamiętajmy iż ze szkół średnich i wyższych wychodzą ci, którzy jako inteligencya narodu będą mieć kiedyś w ręku jego losy, a wpływem swym na lud mogą owoce szkół ludowych spotęgować ku dobremu lub skrzywić. Bo jak drzewo czerpie żywotne

swe soki nie tylko z ziemi przez korzenie, ale z powietrza przez liście, tak dla zdrowia narodu nie starczą owe siły, jakie oświatą ludu stworzyć pragniemy, jeżeli nie będziemy pełną piersią czerpać ożywczego tchnienia z tej atmosfery umysłowej, którą oddycha wyższa inteligencya całej ludzkości. *Uczmy się* sami, — a oświata ludu stanie się prawdą.

Uczmy się nie dla siebie tylko, nie dla tego by młodzież nasza zajmować mogła korzystne i zaszczytne stanowiska, nie tylko dla tego by lepiej ziemię uprawiać i warstatów dochody podnosić, — uczmy się dla Polski. W ręku niewolnika wszystko stać się może narzędziem rozkucia kajdan, jeżeli cała myśl jego ku temu zwrócona a narzędzie umiejętnie użyte. Pług rolnika i młot rzemieślnika, i handlowa księga kupca, i pióro uczonego, i pędzel artysty, i złota struna pieśniarza! Uczmy się dla Polski, tak jak Mickiewicz dla niej żył i pracował i tworzył.

Ale uczmy się i dla ludzkości. Nie możemy zaprzeć się tego, żeśmy z nią całą tysiącznemi powiązani węzłami, że od niej wiele bierzemy pokarmu i że jej dług ten spłacać musimy. Kiedybyśmy o tem zapomnieli, sami na siebie podpisalibyśmy wyrok śmierci. Wszak i ten nasz wielki poeta tem właśnie był wielkim, że umiał odczuć i zrozumieć cierpienia ludzkości, widział jej rany, zapuszczał w nie sondę i jakie miał kładł na nie balsamy. I tylko przez to stało się, że i po śmierci jeszcze służy ojczyźnie, dając narodowi chwile tak pełne otuchy i posilenia, jaką była ta, kiedy imię Polski i jej poety w tych samych zabrzmiało murach, zkąd przed pół wiekiem blisko watykańskie padły klątwy na Polaków walczących za ojczyznę.

SZKLANNY CZŁOWIEK.

Nowella

J. Łama.

(*Ciąg dalszy*).

I któżby sądził, że właściwym sprawcą tej konspiracyi był kochany mój sąsiad i przyjaciel Ratatyński?

Ratatyński — zgadzała się na to ciocia Pstrzykalska i pani Ptaszyńska — nie był orłem. Był to owszem jeden z tych szlachciców, dla których już w trzydziestym piątym roku życia wszelki druk książkowy jest zbyt drobnym i oczy zrywającym, i których, że tak powiem, wzrok sokoli, zdolnym jest na świat cały i na drobiazgi jego, tudzież pisma, patrzyć jedynie z pewnego oddalenia, nie dozwalającego zagłębiać się w szczegóły. Ratatyński był jednym z tych dawnych ludzi, złożonych z cukru i spiżu — z serca i mięśni — którzy do dziś dnia pojawiają się w pojedyńczych egzemplarzach, z tych ludzi, co nie wierzą w dzienniki, w kalendarze, ani w książki, i za których erudycyę Salomon Igel nie zapłaciłby ani złamanego grosza. Ale ciocia Pstrzykalska i pani Ptaszyńska zgadzały się na to, że był to człowiek w całem tego słowa znaczeniu poczciwy. Widzieliśmy go przed chwilą, jak się oburzył na p. Rittnera, gdy ten odezwał się ze zdaniem, że opiekun lub rodzina mogą pozwolić małoletnim krewnym rujnować się, z własnego interesu. Gdyby mu nie był przeszkadzał lokal urzędowy, Ratatyński byłby się w tej chwili stał fizycznie przykrym p. Rittnerowi. Powtarzam, że był to człowiek poczciwy i zacny. Otóż na owej familijnej radzie, rzekł on do cioci Pstrzykalskiej:

— Już to pozwoli kuzynka dobrodziejka, że Władzia trzeba ożenić czemprędzej. Chłopak ma wszystkiego pięć tysięcy złr. i roztrwoni ten kapitalik do kilku miesięcy. Ja jako opiekun...

— Ale, to nie ma o czem mówić — odezwały się obie panie — nie ma innej rady, jak tylko ożenić go czemprędzej.

— Szkoda — dodała ciocia Pstrzykalska — że Szczęsny (tak nazywał się śp. Pstrzykalski) tak zaszargał majątek! Klimcia byłaby bardzo dobrą partyą dla niego! Tak jak rzeczy stoją, wszakże ja nie wiele jej dać mogę, on także nic nie ma, a dziewczyna wychowana jest i przyzwyczajona inaczej... Nie ma co mówić o tem! Ależ, mój Marceli, toż przecież ty i Anielcia (z Podborskich, Ratatyńska) moglibyście go wyswatać w sąsiedztwie waszem. Macie tam przecież tyle panien, posażnych, młodych...

— Otóż to jest właśnie, co kuzynce dobrodziejce mówić chciałem! Wezmę go na wieś do Barkocina, Anielcia jednakże jedzie do wód, przypatrzy się u mnie gospodarstwu, obejrzy się w sąsiedztwie, i niech mię djasek kopnie, jeżeli mu się nie podoba jedna albo druga panna.

— Władysław — odezwała się na to p. Ptaszyńska — nie jest tak łatwym do wyswatania, jak sobie państwo wyobrażacie. Jest to młody człowiek, który ma to, co dziś rzadko się spotyka — ma trochę poezyi w duszy!

— Już to ty Fruziu zawsze wyjeżdżasz z twoją poezyą — zawołała ciocia Pstrzykalska. — Nie pamiętam już, ilu naliczyłaś poetów między młodymi ludźmi, a zawsze skończyło się na...

— No, na czem się skończyło, Zuziu? Co chcesz powiedzieć? Bardzo proszę?

— Et, że też kuzynki znowu zaczynają rozprowadzać jakieś stare historye — zawołał Marceli. — Tu nie chodzi o poezyą, ani o koniec poezyi, ale o to, że Władzia trzeba ożenić, i kwita. Zabieram go na wieś, najpierw w tym celu, a potem dla tego, ażeby w mieście nie stracił pieniędzy. Ty Fruziu mogłabyś na parę tygodni zawitać do Sumińskich, którzy cię tak lubią, a wiesz przecież, że Lalcia jest już dobrze na wydaniu...

Stanęło więc na tem, po dłuższej gawędzie, że p. Eufrozyna Ptaszyńska zjedzie do państwa Sumińskich, do Młynisk i zarządzi wszystko, czego będzie potrzeba, ażeby panna Salcia (Eulalia) Sumińska, podobała się p. Władysławowi Podborskiemu, zaś p. Marceli Ratatyński wywiezie tego młodego człowieka do Barkocina, i podwiezie go później do Młynisk. Nazajutrz po tej rozmowie, nastąpił akt pożyczenia 4000 złotych p. Ratatyńskiemu przez Władysława, bez żadnych jakichkolwiek formalności prawnych. Jednocześnie Władysław zdecydował się jechać na wieś, do szwagra. Na trzeci dzień wszakże, omal się wszystko nie popsuło. Była znowu herbata u cioci Pstrzykalskiej. Ciocia Zuzia uważała już Władysława jako zdeklarowanego konkurenta panny Salci, o której istnieniu on jeszcze wówczas nie wiedział. Przypadkiem, nabąknęła coś o tem — Władysław odpowiedział jej od rzeczy; ciocia Zuzia zaś wyjechała od razu z argumentem, że panna Salcia będzie miała najmniej 150.000 posagu, a jeszcze dwa razy tyle można oczekiwać po najdłuższem życiu państwa Sumińskich. Zrobiła się wielka cisza w koło, wywołana tak imponującemi cyframi.

— A cóż to mię obchodzi? rzekł Władysław.

— Filut z ciebie! Skoro ci mówię, że panna jak aniołek!

— Za bogata dla mie!

Wielki wybuch śmiechu, i ogólne twierdzenie, że Władysław jest żartownisiem z profesyi. Wielki wybuch sentymentu ze strony mojego przyjaciela, i deklaracya tej treści:

— Wolno się państwu śmiać, ale ja mam moje zasady, od których nie odstąpię, i których — jak dowiodłem, bronić potrafię krwią moją. Powtarzam, że infamją jest żenić się dla chleba....

Sensacya, bo jeden z przyjaciół p. Leszczewskiego obecny jest przypadkiem. Wywiązuje się ożywiona dyskusya. Panny Pstrzykalskie biorą stronę Władysława, ciocia Zuzia zachowuje się neutralnie, p. Eufrozyna Ptaszyńska wzdycha, Marceli Ratatyński zapala się i nabiera Władysława z góry, reszta towarzystwa dowodzi za nim, że człowiek porządny może ożenić się z bogatą panną, nie ubliżając sobie. Ale Bulwer był wówczas pisarzem *à la mode*, i Władysław zabił wszystkich Bulwerem. Wśród najstraszniejszego krzyżowego ognia argumentów, pro i contra, wydobył z pugilaresu karteczkę, na której wypisał był po angielsku — Władysław uczył się po angielsku — sentencję wyjętą z powieści *The Gaxtons*. Sentencya ta brzmiała:

„Fly from a load upon the heart, on the genius, the energy, the pride, and the spirit — which not one man in ten thousand can bear — fly from the curse of owing everything to a wife. It is a reversal of all natural position, it is a blow to all manhood within us!“

Po polsku znaczy to mniej więcej:

„Unikaj brzemienia, które ci przygniecie serce, umysł, dumę męską, energią i ducha całego; brzemienia, którego z dziesięciu tysięcy, ani jeden mężczyzna bezkarnie nie dźwiga — unikaj przekleństwa, leżącego w tem, że zawdzięczasz wszystko co masz i czem jesteś... kobiecie. Jest to sprzecznem z naturalnym biegiem rzeczy, jest to cios zadany uczuciu męskiemu.“

Stało to wydrukowane w Bulwerze, i tem samem, ustała wszelka dyskusya. Gdyby to był napisał Korzeniowski, albo Kraszewski, opozycya byłaby możliwą — ale z Anglikiem inna sprawa. Pani Ptaszyńska uścisnęła dłoń Władysławowi, a reszta obecnych zamilkła. Następnie, każda z obecnych panien kazała sobie zdanie powyższe po angielsku wpisać do albumu, i wielkie rozrzewnienie panowało w świecie panieńskim, gdy Władysław Habdank Podborski kontrasygnował plens nomine et titulo wyrok, wydany przez ówczesnego baroneta, a poźniejszego barona i lorda i wielbionego powieściopisarza. Nie przeszkodziło to wszakże przytoczonym już powyżej okolicznościom, że Władysław pożyczył 4000

złr. swemu szwagrowi, i pojechał z nim do Barkocina, a p. Ptaszyńska pojechała do państwa Sumińskich, do Młynisk, gdzie kwitła panna Salcia. (C. d. n.)

O RZEŹBIE.

Odczyt

Ottona Hausnera.

Gdy Galileusz 70 letni, uwięziony i złamany, pod naciskiem inkwizycyi zaparł się był swej wiary, swej obrony systemu Kopernika, gdy ciemnota i przemoc mniemały być zwycięzcami nad umysłem upokorzonego starca, wtedy z jego zbolałej piersi wydobył się jęk prawdy, owe wszechznane, wiekopomne słowo: „E pur' si muove" („A przecież się obraca").

Czem był Galileusz między ludźmi, między uczonymi, w obec ciemnoty i gwałtu, tem jest Polska między narodami wobec przemocy i potwarzy. Każdym razem bowiem, gdy jej wrogowie i ciemiężyciele uważali jej zgon za dokonany, duch narodowy w świetnych wiekach wytworzony mieli za zdeptany i obumarły, w każdej z tych chwil odezwała się grzmiącym głosem protestu: „A przecież ja żyję".

I tak zaraz po trzecim rozbiorze, Polska, wykreślona z mapy Europy, bez armii i budżetu, wydała szereg dzielnych wodzów, na czele Dąbrowskiego i Poniatowskiego, którzy na obcej ziemi dotarli do sztuki zwyciężenia i zostawili po sobie szkołę wojowników, sięgającą aż po Bema.

A gdy po roku 1815, po rozbiciu świata Napoleońskiego, nadzieje Polski na zawsze pogrzebane się zdawały, gdy wszędzie w Europie zapanował zastój i martwota, głos żywotności narodowej odezwał się dziwnie uroczym potrójnym dźwiękiem w trzech olbrzymach myśli i uczucia, w trzech mistrzach formy i rymu, w Mickiewiczu, Krasińskim i Słowackim, w wieszczach, jakich dzieje piśmiennictwa najświetniejszych narodów równocześnie rzadko wykazują. A po zgnieceniu powstania r. 1831 Chopin i Moniuszko, a za nimi liczny zastęp muzyków ujęli w tonach i nutach wszelkie wspomnienia i żale, całą boleść i tęsknotę narodu. Nareszcie po najgorszym upadku, po r. 1863, po raz czwarty Polska stwierdziła swą niewyczerpaną żywotność, zdobywszy sobie z Matejką i Siemiradzkim chlubne miejsce w dziedzinie malarstwa. I zaiste, ten ostatni objaw duchu narodowego więcej podziwienia wzbudzić winien od poprzednich, bo łatwiej wytłómaczyć, jak synowie podbitej ojczyzny, zaciągnąwszy się pod obce sztandary, dojść mogli do sławy wojennej, snadniej pojąć, jak na grobie niepodległości zakwitły arcydzieła poezyi i muzyki, zawsze zrodzone wśród bólu, zwykle zwilżone łzami, lecz trudniej zdać sobie sprawę, jak naród bez gniska umysłowego, bez dworu i mecenasów, bez zamówień i nagród z góry, niemal bez zakładów, zbiorów i wzorów, mógł wywalczyć sobie poważne stanowisko w malarstwie, w sztuce towarzyszącej zwykle jeśli już nie swobodzie i potędze, to zamożności i harmonijnemu rozwojowi społecznemu.

Uważałem za niezbędne wskazać na ten *niezwykły* przebieg objawów dzielności narodowej, aby niejako usprawiedliwić przemówienie o sztuce która u nas dotąd niezaprzeczenie mało rozwiniętą i zaniedbaną była. Albowiem ten rozwój niepowszedni po utracie niepodległości, budzi w nas otuchę, że pomimo ciężkich przeszkód, tak jak dawniej orężem i piórem, lirą i pędzlem, my w przyszłości i dłutem zapiszemy nasz udział w rocznikach świata.

Mój poprzednik*) już wykazał cel główny naszych odczytów: ustalenie niejasnych i sprostowanie mylnych poglądów na sztukę, tak często objawiających się u nas. Najświeższy dowód, dokąd krytyka dzieł sztuki u nas się posuwa, dostarczył mi artykuł w Tygodniku ilustrowanym Warszawskim z 3go lutego r. b. zdający sprawę o posągu Śniadeckiego wykonanym przez Kucharzewskiego. Pozwolę sobie przytoczyć z niego następujący ciekawy ustęp: „Artysta wytknął sobie za cel, pod postacią Śniadeckiego uplastycznić niejako charakter, jaki nosi na sobie „Teorya jestestw organicznych", najznakomitsza jego praca." Ależ uwidocznienie charakteru jakiejś teoryi abstrakcyjnej pod postacią jej autora, jest po prostu absurdem. To „uplastycznienie" widzi krytyk w todze rektorskiej (nawiasem mówiąc: bardzo ciężkiej i niezręcznie udrapowanej) w którą rzeźbiarz Śniadeckiego ubrał. O zaletach i wadach zaś ściśle artystycznych dzieła krytyk ani słówkiem nie wspomina. Wobec podobnego zapoznania istoty sztuki, nie zdaje mi się od rzeczy dać w krótkich zarysach definicyą naszej sztuki: rzeźbiarstwa. Wybieram, jako bardzo treściwą, jasną i dokładną definicyą Karola Blanc'a:

„Rzeźbiarstwo jest sztuką wyrażającą myśli, uczucia i charaktery za pomocą naśladowania dotykalnego i doborowego form żyjących."

Rzeczy nie mające ciała i nie istniejące w myśli inaczej, jak pod formą słowa, które jest niejako ich ciałem, mogą być wyrażone jedynie pismem.

Przedmioty zaś, które posiadają ciało widome i dotykalne, dają się zrozumieć przez samą ich formę. Dla tego *naśladowanie form* jest naturalnem i niezbędnem dla rzeźbiarza, jest jego narzędziem koniecznem, jego środkiem obowiązkowym, lecz tylko *środkiem*, bo rzeźbiarz nie naśladuje, aby naśladować, lecz aby formą wyrazić myśl lub uczucie. To naśladowanie jest dotykalne, gdy utwory rzeźbiarstwa nie przemawiają jedynie do oka, jak utwory malarstwa, lecz mogą być także ocenione zmysłem dotknięcia.

To naśladowanie musi być doborowem, gdy w rzeźbie niedokładność form, brzydota wyrazu, niczem nie jest wynagrodzoną, nie jest odkupioną ani połyskiem kolorytu, ani różnorodnością tła, ani bogactwem zestawienia, jak w malowidłach. W rzeźbie przykutej koniecznością do ciężkiej materyi, brzydota nieruchoma, niema, ociężała i skamieniała staje się wstrętną i tem nieznośniejszą, gdy wykuta w marmurze lub odlana w bronzie, uzurpuje nieśmiertelność, która się tylko piękności należy. Rzeźbiarstwo nierównie mniej przedmiotów obejmuje, niż malarstwo. W posągach i wypukło-rzeźbach ogranicza się ono na formach ludzkich lub zwierzęcych i to przeważnie w postaciach pojedynczych, rzadziej w grupach z nielicznych jednostek złożonych. Przedstawienie świata roślinnego i przyrody nieorganicznej jest nieprzystępnem lub co najwięcej w płaskorzeźbach przypuszczalnem.

Nadto szczupły zakres tego, co rzeźbiarzowi przedstawić wolno, zawiera nierównie większe trudności, niżeli te, z któremi malarz walczy. Po pierwsze: rzeźby mają tyle punktów widzenia, ile punktów ma przestrzeń otaczająca je, ztąd wynika konieczność równej doskonałości i dokładności, każdej, nawet na pozór najobojętniejszej jej części.

Po drugie: Powolne nabycie i niewdzięczne trudy techniki przywiązanej do materyałów obrabianych, spożywają znakomitą część siły i wytrwałości rzeźbiarza. Te trudy posuwają się nieraz do wycieńczenia fizycznego, do podkopania zdrowia. Znane jest bolesne pasowanie się wątłego Canovy z mozolną techniką marmurową. Ta ujemna strona wykluczała długi czas płeć piękną z rzędu rzeźbiarzy i do lat ostatnich najdokładniejsze poszukiwania nie wykazały nad 10 imion kobiecych (Propercyi Rossi, Luizy Roldan, Mistress Damer, panny Collot, Felicyi de Fauveau, księżnej Colonna (Marcello), Giovanny Dupré, Adeli Pandiani, Henryki Hossmer i Elżbiety Ney). Dopiero w dniach naszych utworzyła się w Paryżu pod przewodnictwem pani Klaudyi Vignon grupa kobiet, których rąk dłuto nie odstrasza.

Po trzecie: Brak kolorytu i ograniczenie kompozycyi rzeźbiarz zastąpić może tylko większym doborem form, większą prawdą wyrazu i większą ścisłością wykonania. Dzieło jego, obejmujące zwykle tylko jednę postać, jest gdyby jedno słowo wyrzeczone. Jedno słowo zaś, jeżeli ma nas ująć lub zachwycić, musi być całą potęgą prawdy, jędrnie i dźwięcznie wypowiedzianem. Tak zaś to słowo rzeźbiarz wygłosić może jedynie za pomocą rysunku arcydokładnego. Najmniejsza wada rysunku jest dla niego grzechem nieprzebaczonym. Dla tego geniusz tego rodzaju jak Rembrandt, zatapiający niedokładności rysunku w cudach „Chiaroscuro" (półcienia), między rzeźbiarzami wytworzyć się nie mógł.

Po czwarte: Dla rzeźbiarza, gdy raz materya z grubego jest wykuta, nie ma już poprawki. Poznanie popełnionego błędu wtedy dla niego jest jałową skruchą lub zgubnem zwątpieniem.

A jednak, pomimo tych przeszkód, tych ciasnych granic, rzeźbiarstwo było pierwotnie potężnym środkiem wychowania publicznego, gdy jego utwory uwieczniały między ludźmi istnienie wyższej piękności w formach widomych i dotykalnych. Dochodzi ono do wzniosłości, gdy przez figury kolosalne wzbudza ideę trwania wiecznego, wpaja uczucie nieskończoności. (Sfinksy i Memnony egipskie, kolos Rodyjski, Jowisz Olimpijski, posąg Karola Boromeusza w Aronie, Bawarya w Monachium, Apenin w Pratolino, Religia w Campo santo Neapolitańskiem, kolos wolności w porcie Nowo-Yorskim.)

Sztuka rzeźbiarza tkwi w wzniesieniu prawdy indywidualnej do prawdy typowej, a prawdy typowej do piękności, szukając w życiu indywidualnem znamion życia rodzajowego i idealnego. To nas doprowadza do poznania *dwóch* pierwotnych warunków rzeźby: *charakteru*, który zawiera życie i *piękności*, która zawiera ideał.

Tutaj powstaje pytanie, jak też przedstawiać charaktery, które nie dają się z pięknością połączyć, np. nałogi, wady, namiętności ujemne. Starożytni odmawiali sobie prawa przedstawiania tych typów pod formą ludzką i nadawali im formy zwierząt lub istot niższych, półzwierzęcych: Faunów, Satyrów, Centaurów, Syren. Średniowieczni bez skrupułu przedstawiali najohy-

*) Pan Henryk Rodakowski, patrz Nr. 30, 31, 32.

dniejsze typy w postaciach ludzkich, choć im figura dyabła wybornie służyła do uwidocznienia złego i grzechu. Artyści z czasów odrodzenia wprawdzie także niekiedy nałogom nadawali kształt ludzki, ale przynajmniej tylko męski i to najczęściej w przeciwstawieniu z cnotami w postaciach kobiecych. W stuleciu Barocco zaś posunięto zły smak aż do nadania nałogom kształtu kobiet. „Uciekająca morowa zaraza“ w Madonna della Salute w Wenecyi przez Juste le Court, straszliwie chuda, stara furya, jest może najwstrętniejszym przykładem tego nadużycia allegoryi.

Pierwszem prawidłem rzeźbiarstwa jest *miara*, umiarkowanie ruchu, trzeźwość gestów, już samą naturą materyi, któremi ta sztuka się posługuje, nakazane. Ten spokój, to umiarkowanie musi być ściślej zachowane w pojedynczych postaciach, może ustąpić żywszym ruchom w grupach. Jednak gest winien być nie tylko umiarkowanym, lecz i wyraźnym, stanowczym, zgodnym z wyrazem twarzy, z charakterem postaci. Jako wzór niewyrównany przytoczę tu gest posągu konnego Marka Aurela na Kapitolu. W tej ręce łagodnie, a jednak stanowczo i swobodnie wyciągniętej każdy od razu pozna charakter wielkiego uśmierzyciela ludów.

Głównym przedmiotem rzeźby jest nagość, to jest forma ludzka bez zasłony, tak jak wyszła z ręki Boga. Jednak odzież nie jest przeszkodą w rzeźbie, owszem jako draperya przyczynia się do wyrazu i do piękności, i dla tego już w najdawniejszych czasach ją używano, nie zaś dla wstydliwości, która tutaj stanowczo nic nie ma do czynienia. Albowiem nagość posągów jest czystą, bo jest idealną i nie ma znamion życia indywidualnego, lecz rodzajowego, boskiego, i jako taka wzbudzić winna podziwienie i nic więcej. Draperya jest generalizacyą odzieży. Odzież zawisła od klimatu, od obyczajów i smaku pewnego czasu lub narodu, jest kostiumem, odzież zaś, która nic nie ma szczegółowego i której forma może być wszystkim wiekom lub narodom właściwą, jest draperyą. Jednak i nasz ubior teraźniejszy, tak niewdzięczny, tak nieplastyczny bywa dzisiaj przeważnie używanym w przedstawieniu osób historycznych naszego wieku i posągi tak odziane stają się popularniejszymi od posągów idealizowanych, bo te ostatnie większej publiczności nic nie przypominają. Jako przykład przytaczam posąg Napoleona I. przez Seurre, w małym trójkątnym kapeluszu i w szarej kapocie na kolumnie Vendome, który dla ogółu stał się daleko sympatyczniejszym od nierównie lepszego posągu Dumonta, przedstawiającego Napoleona jako rzymskiego Imperatora.

(C. d. n.)

POWSTANIE POLSKIE
nad
BAJKAŁEM.

Z pamiętników naocznego świadka Z. O.

(Ciąg dalszy.)

Ku Irkuckowi miał podążyć Sołowiejowicz zawożąc tamże bliższe określenia co do chwili ruchu i kierunku, jaki tenże miał przyjąć. Wskutek jednakże chorobliwego stanu zdrowia, musiał on pozostać jakiś czas w Kańsku i wyprzedziło go dwóch innych, mianowicie Z. O. i K. Malicki*), jako tacy, którzy przeznaczeni będąc do katorg irkuckich, mogli tamtejszym więźniom pewnych objaśnień udzielić. Nim jednakże wzmiankowani dwaj udali się w drogę, najwyraźniej zastrzeżonem i poleconem było Z. O., aby więźniowie oczekiwali spokojnie, dopóki Sołowiejowicz do Irkucka nie przybędzie, a swoją drogą, aby zbytnio gorące zachcianki Malickiego, według możności moderować.

Już podczas drogi zaczął Malicki występować samodzielnie, dając tem samem towarzyszowi do poznania, że go nie obowiązują poprzednie układy i że na przyszłość nie słuchając żadnych poleceń, na własną rękę działać będzie. Nie oburzałyby śmiesznostki junactwa, gdyby nikomu nie szkodziły, lecz Malicki junakując wyzyskiwał na rzecz swojej ambicyi i próżności to, co miało być jeszcze w ukryciu. To musiało oburzać, więc też w ciągu drogi jaką O. przebywał z Malickim do Irkucka, nieraz przychodziło do cierpkich wymówek. Szczęściem jednakże krzykliwość Malickiego nie zwróciła uwagi Moskali i nie pociągnęła za sobą tych skutków, któreby nastąpiły. gdyby przed czasem zerwały się nici wiążące więźniów pomiędzy sobą.

Parę tygodni minęło od czasu jak Malicki z O. w Irkucku stanęli i tamtejszych więźniów o wszystkiem zawiadomili. Rzecz oczywista, że w pierwszym momencie znalazło się wielu skorych, gotowych rzucić się namiętnie na pierwsze hasło do czynu, lecz również byli tacy, którzy uważali wspólność działań Sołowiejowicza z Polakami za rzecz bardzo problematyczną. Było to zresztą obojętnem jak się kto chciał na skutki zapatrywać, bo ruch już raz zdecydowany i schwycenie za broń, bez wyjątku wszystkich, pociągnąć za sobą musiały.

Wśród rozkołysanych uniesień wyczekują w Irkucku chwili wybuchu, którą miało przybycie Sołowiejowicza obwieścić, ten ostatni jednak nie przybywa. Nawet partye więźniów, przedtem dość regularnie do Irkucka nadchodzące przestały przybywać, a cisza złowróżbna roztoczyła się między zrezygnowanymi więźniami i pogrążyła ich w trwożną niepewność.

Niespokojnemu umysłowi Malickiego, ta poważna pauza była za długą i istotnie rozpoczął samozwańczą działalność. Nie wiele to jego wystąpienie znaczyło, ale było to o tyle wstrętnem, że rozpoczął on od zupełnie zbytecznej organizacyi, na której czele postawił swoję żandarmeryą zrekrutowaną pomiędzy więźniami, mającą służyć w razie danym do wykonania jego postanowień. W takiej chwili wprowadzać w życie instytucyą, przeciw swoim wymierzoną, zaledwie dającą się usprawiedliwić w kraju, spowodowaną tam koniecznością wobec wroga, tu było prawdziwym szarlatanizmem graniczącym z głupotą.

Wreszcie pojawiły się pierwsze transporty więźniów z Krasnojarska a z niemi i wieść, że Moskale wpadli na jakiś ślad organizacyi w Krasnojarskiem i z całą stanowczością przystąpili do zduszenia takowej. Wieść ta z początku niepewna, później sprawdzona, jak piorun uderzyła o uszy więźniów Irkuckich wyczekujących wyzwolenia. Policya moskiewska znajdowała się w pozycyi psa gończego, zmylonego na tropie jasnych pojęć o niczem mieć nie mogła i dla tego schwytawszy jednego z więźniów krasnojarskich, nazwiskiem Szlenkiera, który do żadnych czynności prawdopodobnie nie był użytym, a tylko ratował siebie zupełnie odosobnioną ucieczką z Syberyi, sądziła, że ujęła wątek agitacyi, i Szlenkiera poddała badaniom śledczym, o których biegu nic wiedzieć nie można było. Szlenkier skuty na rękach i nogach, wrzucony do więzień sekretnych, wytrzymać musiał wszystkie środki inkwizycyjne, których Moskale używali do wyciśnięcia zeznań. Nic się dowiedzieć nie mogli, pomimo tego, jednak uwięzienie Szlenkiera stało się rozgłośnem, i ta sprawa prywatna postawiła Moskali w stanie nadzwyczaj zaekscytowanej czujności. Odtąd Moskale rozwinęli ze swej strony ostrożność i baczność. Odpoczywających więźniów, po największej części chorych a rozrzuconych od Tomska do Irkucka, zaczęli natychmiast rozwozić kibitkami do naznaczonych miejsc kary; tych zaś, których podobało się o coś podejrzywać, kuli w łańcuchy i do Nerczyńska wysyłali, chociaż to byli posileńcy a nie katorżnicy. Tak porwano pułkownika Lewandowskiego, zamieszkałego w okolicach Kańska, Pawła Landowskiego i wielu innych, na których mógł padać jakikolwiek cień podejrzenia. Sołowiejowicz, podówczas chorujący w Kańsku, także nie uszedł oka Moskali; porwali go żandarmi i wsadziwszy na kibitkę, zawieźli do Irkucka. Ta cała jednakże czujność i trafność podejrzywań moskiewskich, nie przeszkodziła dojrzewaniu zamiarów ułożonych przez więźniów, i Sołowiejowicz nie został pochwycony niespodzianie, ale wiedząc co go oczekuje, już był zupełnie gotowym do drogi.

Na kilkadziesiąt wiorst przed Irkuckiem spotkał wypadek Sołowiejowicza, który wywarł pośrednio wpływ na całą postać rzeczy. Podróż jego odbywała się w marcu (1866 r.) Kibitki moskiewskie, szczególniej w Syberyi, są sławne

---

*) Malicki przezwał się w Syberyi Michałowski, co było spowodowanem chwilową osobistą jego potrzebą. Jest to ten sam, króry po powrocie z Syberyi przez jakiś czas (1869—70 r.) bawił we Lwowie, pracując przy redakcyi jednego z dzienników miejscowych. Następnie udał się do Wiednia a z tamtąd w czasie kampanii prusko-francuskiej (1871 r.) pojechał do Paryża i po niejakim czasie wypłynął jako dowódzca oddziału mścicieli. Pochodzenie jego było skrupulatnie przez niego zakrywane, jest tylko pewnem, że miał udział w powstaniu na Litwie co wielokrotnie potwierdzonem było przez osoby mające wybitne stanowiska tak przed powstaniem jako też w czasie ruchu na Litwie. Jest dalej pewnem i niewątpliwem, że Malicki na Litwie został ujętym i przez Moskali był traktowanym jako oficer generał-sztabu francuskiego i jako taki miał nawet być zasądzony. Przed powstaniem 1863 r. jakoś w czasach demonstrancyi obiegała pogłoska, że 3 oficerów francuskich z polecenia rządu francuskiego, albo raczej czerwonego księcia Ludwika ówczesnego opiekuna Polaków, zostało wysłanych do Rosyi dla przejrzenia i zbadania słabych stron organizacyi wojskowej, otóż Malicki miał być jednym z tych trzech oficerów, którego rok 1863 zaskoczył na Litwie. Człowiek niesłychanie próżny i dla swej próżności gotów nawet siebie poświęcić, jakim ja go przynajmniej poznałem, nie mógł nigdzie wyjednać sobie trwałej sympatyi. Z wymową bardzo potoczystą, z zasobem wielkim encyklopedycznych wiadomości, z obszerną pamięcią i sztuką pozowania, mógł wywierać wpływ na niższych i nieraz mu się udawało wielu choć chwilowo pozyskiwać adherentów. Nakoniec i to jest pewnem, że Malicki stanowczo nie jest pochodzenia moskiewskiego, ani też w Kijowie nie wychowywał się nigdy, jak to dzienniki lwowskie z okazyi jego splamienia się pod Abbeville głosiły, jest on Polakiem nieumiejącym nawet po moskiewsku, a że podszywanie się jego pod oficerstwo armii francuskiej z przed 1863 r. musi mieć jakąś podstawę, to i w tem dowód, że Malicki wskutek dekretu ministra wojny z 14 Listop. 1871 r. to jest w tej prawie chwili gdy przybył do Francyi otrzymał nominacyą na pułkownika dowodzącego zupełnie odrębnym korpusikiem des Vengeurs, czego nie dostąpiłby żaden inny Polak w chwilach przed komunowych, który nie był uprzednio żołnierzem francuskim lub nie posiadał wypróbowanych kwalifikacyi do takiego stanowiska.

ze swej jazdy; dla woźnicy (jemszczyka) i dla jego jabołoczków*) nie ma góry na którąby w największym pędzie wyciągnięta trójka nie wjechała i w takimże samym locie z góry w dolinę jak szalona nie zbiegła. Poświstując na konie jemszczyk z wyciągniętą postawą, w owej chwili nic nie widzi i na nic nie zważa, a kto w takiej siedzieć zmuszony, niech myśli o sobie, aby życiem nie okupił jazdy, o jakiej w Europie nie mają pojęcia. Gdy w zimie taka jazda przypadnie, staje się ona nierównie niebezpieczniejszą. Staczające się sanie, kreśląc w pędzie fantastyczne ślady, uderzywszy o jakąś przeszkodę, która nie mogła być dojrzaną wśród zamieci i tumanów srebrzystych śniegu, jeżeli nie śmierć, to niechybnie na ciężkie kalectwo podróżnych narażają. Takim sposobem kilku więźniów na miejscu zostało zabitych i pokaleczonych, i takiemu wypadkowi uległ także i Sołowiejowicz. Sanie ciągnione w szalonym biegu koni, wywróciły się, Sołowiejowicz z nich wypadł, a zaczepiwszy się futrem o kopanice, był wleczony przez długi kawał drogi. W końcu jemszczyk osadził rozpienione konie i dopiero żandarmi zdołali wydobyć z pod sań zakrwawionego Sołowiejowicza, z głową ciężko uszkodzoną. Gdy przyjechali do najbliższej stacyi, Sołowiejowicz zapadł w gorączkę i w takim stanie nie zostawiając go nigdzie, żandarmi przyspieszyli jazdę. Na drugi dzień na wpół nieprzytomnego, słowem *po ukazu*, przystawiono go do Irkucka.

W Irkucku już oczekiwała policya na jego przybycie, zapowiedziane telegraficznie. Przed tiurmą stanęła kibitka i z niej zniesiono Sołowiejowicza do wnętrza przybytku cierpień. Położono go na ławie w komnacie zwanej *obszczaja*, gdzie odbywają się najszczelniejsze rewizye więźniów, a tymczasem sołdaci znosili jego rzeczy, których go nie pozbawiało prawo łaskawsze dla *swoich* niż dla Polaków.

Jak psy ze smyczy wypuszczone na zwierza, tak policya rzuciła się na swoję zdobycz, i gdy jedni otoczyli jego osobę, drudzy rozszarpywali zamki kuferków, pruli odzież i bieliznę spodziewając się schwycić jakieś papiery spiskowe, rozjaśniające bunt, a których znalezienia najpewniejszymi byli.

Był to prawdziwie szczęśliwy zbieg okoliczności, że podówczas, gdy Sołowiejowicza przywieziono, jakby instyktownie kręciło się po dziedzińcu i sieni tiuremnej kilku z młodzieży kijowskiej. W chwili więc, właśnie gdy go nieśli sołdaci, pomimo utraty przytomności i sił fizycznych, wskazał Sołowiejowicz więźniom nieznacząco na futro swoje i rzucił go jakby przypadkowo na ziemię. Znak dany przez niego, dla więźnów był bardzo wymownym i gdy sołdaci powrócili, aby futro zrzucone zabrać, już go nie znaleźli na owem miejscu. W pobliżu komnaty, w której Sołowiejowicz poddany był rewizyi, była cela więzienna, zamieszkała właśnie przez sprawców tej kradzieży; w oka mgnieniu rozerwali oni rękawy futra i z przerażeniem wyciągnęli z poza podszewki kilka zwojów papierowych. Nie było czasu do namysłu, papiery wrzucono bez żadnych wahań do pieca w którym się paliło, futro zaś ogołocone z balastu wyrzucono zręcznie aż pod drzwi sali rewizyjnej, i tym sposobem wydarto Moskwie wszelką możność pochwycenia Sołowiejowicza na gorącym uczynku, i ocalono wielu, których więzienia a może i śmierć nie byłaby ominęła. Przetrząsano Sołowiejowicza przez kilka godzin, on leżał bezwładnie i tylko od czasu do czasu spoziérał na to futro nieszczęsne, mające niebawem jego i drugich zgubić! Nie mógł wiedzieć, że ono w sobie nic już nie mieściło i ta obawa, która najdrowszego potrafiłaby zwalić i jemu cios ostateczny w tej chwili zadała. Gorączka coraz więcej się wzmagała, i w śmiertelnych prawie konwulsyach odniesiono go do szpitalu więziennego.

W takim stanie przebył Sołowiejowicz parę dni. Z początku strzeżono go najsurowiej w szpitalu, ale gdy siły i czucie coraz więcej opuszczać go zaczęły, baczność i ostrożność Moskali była już zupełnie zbyteczną. W ostatku jeszcze zażądał przez kolegów widzenia się z O., osadzonym zupełnie w innem więzieniu. Nim jednakże formalności spełniono, aby pod pozorem słabości dostać się można było do szpitalu, w którym leżał Sołowiejowicz, minęło znowu kilka dni, i gdy O. przybył, po uściśnieniu się serdecznem parę słów niezrozumiałych wyszło jeszcze z piersi Sołowiejowicza, w końcu utracił mowę i w kilka godzin więzień moskiewski na rękach polskich kolegów zakończył pełne poświęceń życie. Cześć jego szlachetnym popiołom!

Śmierć Sołowiejowicza była prawdziwą niespodzianką dla policyi moskiewskiej, i gdyby go z tamtego świata zawrócić i przed sądem, który już przygotowywał się odrębnie do tych indagacyi, stawić można było, nie wiem coby Moskale dali za to! Niestety! Nie zdołali tego uczynić i tak przepadło wiele awansów i krestów, które już oczekiwały zgłodniałych policyantów moskiewskich za sprawę, nazwaną „sprawą Sołowiejowicza.“ Ale także ze śmiercią jego tak nagłą i nieprawdopodobną, i wyglądającą raczej na zagadkę aniżeli na istotną prawdę, sprawa zaagitowana przycichnęła, przerwały się bowiem naraz wszelkie związki i czynności Polaków w zachodniej i wschodniej Syberyi, a to co dotąd ułożone było z mozołem, zeszło bezpowrotnie do grobu z Sołowiejowiczem.

Swoją drogą Malicki coraz śmielej i bardziej stanowczo począł między więźniami występować, a gdy Sołowiejowicza posłannictwo z nim razem ze świata zeszło, uczuł Malicki ręce rozwiązane. Osobistość jego nie dawała, jak się już wzmiankowało, żadnych szans dla jego kierownictwa, a wpływy jego tylko do niewielkiej liczby więźniów ograniczać się mogły, mianowicie takich, którzy porwani jego oratorstwem, bez pytania o cel i bez żadnego zastanowienia się, postanowili z nim razem iść tam gdzie on poprowadzi. Jeżeli już miało się prowadzić dalej raz rozpoczęte zamiary, i chwila wybuchu miała być nieuniknioną, to wszyscy inni woleli grupować się naokoło takich ludzi, którzy przynajmniej wiarę w siebie wyrobić potrafili. Do takich należał Władysław P., jeden z najdzielniejszej młodzieży, nie marzący o żadnych ekstrawaganckich czynach wojennych, jak Malicki, ale po prostu pragnący wolności, choćby ją życiem własnem opłacić przyszło. W. P. mógł też pociągnąć za sobą liczny hufiec więźniów, gdyby nie agitacye bezustanne Malickiego, które nareszcie tak głośnemi się stały, że Moskali uwagę zwróciły. W tym razie Moskale postąpili dowcipnie, nie rzucili się na wszystkich, jak to zawsze ich zwyczajem było, robiąc odpowiedzialnymi wszystkich za jednego, ale po prostu wzięli Malickiego z pośrodka więźniów, osadzili go w zupełnie innem więzieniu, przez co przerwane zostały jego działania wśród kolegów, a zakuwszy w kajdany, w krótkim czasie wysłali do Aleksandrowska pod Nerczyńskiem. Na tem kończy się cała akcya Malickiego nie wyrobiwszy żadnego uznania dla swego motora, który już więcej żadnej roli na Syberyi nie odgrywał.

Władysław P. postępował oględnie. Ponieważ widział, że wybuch jakiejkolwiek natury udać się nie może w Irkucku, z prostej przyczyny, że Irkuck jako miasto stołeczne, rozporządza potężnymi środkami, którymi wszelki izolowany poryw więźniów zaraz na miejscu byłby powstrzymany; postanowił wyczekiwać czasu takiego, gdy się więcej więźniów zgromadzi, a mianowicie gdy nastąpi ich wysyłka za Bajkał.

Irkuck zatem wyszedł z rachuby więźniów, bo on tylko był punktem wyjścia dla Sołowiejowicza, który był duszą powstania ogólnego na Syberyi, i który przy pomocy Polaków mógł coś zrobić, i dla Malickiego, dążącego zawsze do tworzenia rzeczy zadziwiających, wielkich, lecz bez wszelkiej konsekwencyi.

Od tych chwil ku Bajkałowi oczy zwrócone były, i tam dopiero spodziewano się bez przeszkód doprowadzić zamiary do pożądanych skutków.

Sprawy Szlenkiera, Sołowiejowicza, Malickiego i więźniów w Krasnojarskiem, zdawały się przycichać i tracić na doniosłości w oczach Moskali; dawny tryb zwolna powracał i nowe partye więźniów znowu od zachodu do Irkucka przybywać zaczęły. (C. d. n.)

*) Jemszczycy jadąc mówią bezprzestannie do swoich koni i nazywają ich jabłuszkami, dziećmi, braćmi itd. a poświstując lecą jak sokoły.

MIESZKANCY INNYCH ŚWIATÓW.

Pogadanka naukowa.

(*Ciąg dalszy.*)

Przypatrzmy się trochę bliżej naszemu najbliższemu sąsiadowi, księżycowi. W odległości 52.000 mil obraca się on całkowicie około ziemi w ciągu dni $27^1/_3$; przytem, w tymże samym czasie robi dokładnie jeden obrót około swej osi, więc zawsze jedna jego strona jest ku nam zwrócona. Nigdy drugiej połowy księżyca nie widzimy.

Księżyc jest co do objętości 49 razy mniejszy niż ziemia. Ponieważ promienie światła pochodzące od gwiazd, które księżyc w swej drodze po firmamencie zakrywa, przechodzą koło brzegu jego tarczy bez załamania, więc *nie ma na jego powierzchni atmosfery*, a jeżeli jest jakakolwiek, to w stanie tak rozrzedzonym jak powietrze pod kloszem pompy powietrznej po długiem pompowaniu.

Ponieważ massa księżyca jest mała, więc i ciążenie jest bardzo małe i wynosi $^1/_6$ ciążenia na ziemi. Natężenie mięśni człowieka wystarczające na ziemi do podskoczenia o 4 stopy w górę, wystarczyłoby na księżycu do podskoczenia na stóp 24.

Nasze pojęcia o wszechświecie, o budowie ciał odległych niebieskich, o warunkach fizycznych, w których one się znajdują, wyprowadzamy zwykle przez analogią z pojęć, którešmy odebrali na powierzchni ziemi naszej. To też żeby wyświetlić sobie jeszcze bardziej stosunki na księżycu*) zachodzące, przenieśmy się myślą

*) Patrz „Kosmos“ 1876. Zeszyt VIII. Brunona Abakanowicza „Dzieje księżyca.“

na czas pewien na jego powierzchnię, przypuśćmy, że bez atmosfery żyć tam możemy, zobaczmy jak ten świat daleki oczom naszym się przedstawi, i porównajmy zjawiska, które tam zobaczymy, z naszemi zwykłemi ziemskiemi zjawiskami.

Dajmy na to, żeśmy się znaleźli na takiem miejscu powierzchni księżyca, dla którego właśnie ma wejść słońce i rozpocząć dzień długi, bo trwający 354 godzin. Zbliżenia się jego nie oznajmia brzask tak jak u nas na ziemi, bo nie ma powietrza, któreby załamało promienie od słońca pochodzące, odchyliło je przez horyzont. Raptownie pokazuje się wierzchni skraj jego i rzuca promienie na gór szczyty. Słońce porusza się nadzwyczaj powoli na firmamencie, i trzeba całej prawie godziny czasu, żeby tarcza jego pokazała się w całości. Różana zorza poranna nie pokazuje się na wschodniej części nieba także skutkiem braku atmosfery. U nas w pewnych warunkach powietrze pochłania inne barwy promieni słonecznych, a przepuszcza tylko czerwone — na księżycu wszystkie barwy przechodzą najswobodniej aż do skorupy, i części, na które światło padać może, są wystawione na białe, jaskrawe światło.

Ponieważ żadna warstwa gazów ani pary nie łagodzi tego światła, więc się wydaje ono tak jaskrawem, że oko ludzkie znieśćby je w żadnym razie nie mogło. Do podniesienia tej jaskrawości przyczynia się także i czarna barwa nieba. Jak wiadomo, błękit nieba naszego powstaje przez rozproszenie promieni słonecznych w atmosferze, w parze wodnej w niej zawartej, a ponieważ tej gazowej okrywy księżyc nie posiada, więc niebo wydaje się z powierzchni jego zupełnie czarnem. Gwiazdy błyszczą na niem w dzień biały tak jak u nas pośród najciemniejszej nocy, tylko nie widać na nich ani śladu migania, które jest zjawiskiem od atmosfery pochodzącem. Dziwnem wydawać się musi to zestawienie nieznośnie jaskrawego słońca, czarnego jak heban nieba, i gwiazd, jednocześnie na niem świecących!

Najwięcej po słońcu zwracającem uwagę, bo największem ciałem niebieskiem widzialnem z powierzchni księżyca jest nasza ziemia. Ziemia jest tem dla księżyca, czem księżyc dla nas: jest księżycem księżyca i podczas długiej nocy oblewa go swem światłem. Widzieć można z księżyca takie same fazy na ziemi naszej, jakie widzimy zwykle na księżycu. Kiedy księżyc jest w pełni, wtedy ziemia znajduje się w nowiu, a gdy na księżycu północ się zbliży, ziemia nasza jest cała oświecona. Przepyszny musi być widok tarczy tak świecącej jak nasz księżyc, lecz o powierzchni 13 razy większej (średnicy 4 razy większej.) Oświecenie powierzchni księżyca przez naszą ziemię jest tak silne, że je od nas widzieć możemy: wpatrzywszy się dobrze w księżyc w czasie, gdy ma formę sierpa, ujrzymy resztę jego tarczy w szarem oświetleniu.

Podczas gdy gwiazdy, planety i słońca poruszają się po firmamencie, dla oka spostrzegacza znajdującego się na powierzchni księżyca, ziemia nasza stoi jakby przymocowana na jednem miejscu. Jak już o tem wspomnieliśmy, księżyc obraca do nas zawsze jednę i tę samę stronę, więc spostrzegacz stojący po środku tarczy księżyca widziałby zawsze ziemię znajdującą się w zenicie. Ciągle bez zmiany błyszczała by nad jego głową tarcza ziemi naszej i przechodziłaby na tem samem miejscu wszystkie zmiany faz. Tylko w południe księżycowe byłaby niewidzialną. Im dalej by się ku brzegu tarczy nasz spostrzegacz posuwał, tem coraz bardziej położenie ziemi zbliżałoby się do horyzontu, idąc dalej już tylko część jej tarczy wystawałaby; nareszcie zginęłaby zupełnie z widoku. Druga połowa powierzchni księżyca nigdy nie ogląda naszej ziemi.

Odwróćmy oczy od tak dziwnie wyglądającego nieba i przypatrzmy się powierzchni księżyca, przypuściwszy, że się znajdujemy w jakiemkolwiek korzystnem miejscu, na wysokości, i że ztamtąd patrzymy na jeden z kraterów olbrzymich, którymi cała powierzchnia księżyca jest usiana. Wróćmy znowu do chwili kiedy słońce wschodzić zaczyna. Raptownie, bez brzasku padają jego promienie na szczyty gór. Nic ich nie łagodzi i nie rozprasza, bo nie ma powietrza, któreby temu posłużyło. Części gór, na które nie padają bezpośrednie promienie słoneczne, znajdują się prawie w zupełnej ciemności; zaledwie je oświeca trochę ziemia nasza i światło odbite od powierzchni księżyca. Na tem czarnem tle cieniów tem jaskrawiej odbijają części oświecone, które się oblewają rażącą oczy jasnością. Nawet daleko leżące wierzchołki gór znajdujące się na tle nieba robią to samo wrażenie, bo niebo jest zupełnie czarne.

Słońce podnosi się coraz wyżej i wyżej. Jedne po drugich wychodzą z ciemności wierzchołki gór, cień spada powoli coraz niżej i nareszcie widzimy w rażącem świetle cały wał pierścieniowy, krater otaczający. Dwadzieścia razy powolniej niż na ziemi posuwają się cienie na dół. Nareszcie i stożek środkowy zaczyna się oświecać, kilka jasnych ciągle się wzrastających punktów okazuje jego wierzchołki, cienie posuwają się jeszcze niżej i nakoniec widzimy otoczenie w zupełnem oświeceniu.

Jak daleko okiem zasięgnąć, wszędzie poszarpane, skały piętrzące się do olbrzymiej wysokości, góry o spadkach nadzwyczaj stromych, nagie, bez śladów żyjących istot. Wszędzie znać działanie dawnego ognia. Kratery piętrzą się po nad kraterami, przebijają jedne drugie — niekiedy całe równiny są niemi zasiane, jak naprzykład koło olbrzymiego krateru Kopernika. Ponieważ niema powietrza, więc też nie ma i perspektywy powietrznej. Bliskie i dalekie przedmioty wydają się równie jasne i równie wyraźne; w odległościach zaledwie zorjentować się można i trzeba chyba tylko stać na wierzchołku jakiej, góry żeby sobie z tem poradzić. Stojąc na wierzchołku wału krater otaczającego, widzieć można z największą dokładnością cały wał po stronie przeciwnej o mil nawet 20 odległy. Na tej przestrzeni żadna barwa nie traci na jaskrawości, wszystkie atoli lawy i sublimaty błyszczą, bo są zupełnie prawie świeże. Nie ma powietrza, by ich powierzchnia mogła się zaćmić i zwietrzeć i któreby pokryły odległe przedmioty siną zasłoną, jaką u nas w górach widzimy. Do tych niezmierzonych obszarów, które gołem okiem w najdrobniejszych detalach przejrzeć można, dodać jeszcze potrzeba owe kontrasty światła i cienia, o których jużeśmy wspominali. Z jednej strony jasne oświecenie, którego oko znieść nie może, z drugiej cień czarny jak smoła, pod którego pokrywą niknie najgrubszy nawet zarys powierzchni. Przyłączmy do tego jeszcze czarne niebo z gwiazdami na niem rozsypanemi i słońcem, które przez trzysta kilkadziesiąt godzin zsyła niczem niezłagodzone promienie i nagrzewa powierzchnię do temperatury topiącego się ołowiu, a będziemy mieli widok w dzień na księżycu. W około wieczny spokój — żadna chmurka nie broni od palących promieni — nie słychać najmniejszego szmeru. Nie ma powietrza, któreby drgało i przeprowadzało swe fale do naszego ucha. Gdyby powstał huk najstraszniejszy, gdyby wybuchł nowy krater lub góra się zawaliła, nie słychać by było najmniejszego szelestu. Wszystko to razem wzięte ma jakiś wyraz niczem niezmąconego pokoju, — śmierci bez śladów poprzedniego życia. Żaden meszek nawet nie okrywa skał nagich, nigdzie odrobiny wody, tylko nagie poszarpane skały o przerażających czarnych cieniach.

Powoli porusza się słońce dalej po niebie. Cienie znikają w południe, słońce zaziera do wszystkich kryjówek, a jednocześnie ziemia nasza znika nawet z firmamentu. Sierp coraz się zmniejszał aż nareszcie znikł prawie zupełnie. Zaledwie może widać jaki cienki pasek na dole lub u góry stosownie do miejsca, które słońce względnie do ziemi naszej (niżej lub wyżej) zajmuje.

Po południu cienie na księżycu pokazują się na przeciwnej stronie, wzrastają powoli przy zachodzie, które się niczem nie różni od wschodu, odbywa się również bez zmroku. Cienie pokrywają swą szatą cały krajobraz, aż nareszcie z ostatnim promykiem słońca giną w ciemnościach oświecone wierzchołki. Tymczasem i księżyc ziemia odwróciła swój sierp na drugą stronę i powoli jej oświecenie wzrastające, dosięgło przy zachodzie słońca połowy całej tarczy.

Po trzystugodzinnem upale noc się zaczyna raptownie. Powierzchnia wysyła promienie cieplikowe w przestrzeń i nic ich nie zatrzymuje. Żadna osłona powietrzna jak na ziemi nie pokrywa jej jak gdyby ubraniem. Po prędkim czasie następuje mróz niesłychany i temperatura spada do stu kilkudziesięciu stopni. Gwiazdy jaśniej niż w dzień świecić zaczynają wskutek rozszerzenia się źrenicy, a ziemia coraz więcej oświeca, aż nareszcie w północ cała jej tarcza jest oświecona. Widzieć wtedy można najdokładniej, jeżeli chmury tylko widoku nie zasłaniają, bieguny otoczone białą płachtą śniegu, dalej błękitne morza i różnobarwne lądy. W każdej porze roku inny widok. Śniegi z biegunów zchodzą w zimie ku zwrotnikowi i zieloność lądów posuwa się na dół. Oczom spostrzegacza na księżycu co chwila przedstawia się nowy widok, bo ziemia podczas jego trzystugodzinnej nocy nie raz jeden około swej osi się obróci.

Gwiazd spadających i meteorów jasnych nigdy nie widać na niebie księżycowem. Ciała te lecące w przestrzeni z niesłychaną, kosmiczną szybkością, nie napotykają na swej drodze oporu, powietrze ich nie powstrzymuje, nie rozgrzewają się więc wcale i nie świecą, i z niezmierną szybkością lecz bez blasku upadają na powierzchnię księżyca. (C. d. n.)

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom trzeci.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ IX.

P. Dumphy zwierza się panu Poinsett.

Oziębiona temperatura, która na drugi dzień po rozmowie pana Dumphy z pułkownikiem Star-

bottle zapanowała, znakomicie przyczyniła się do przywrócenia spokojności pierwszemu z wyżej wymienionych gentlemenów. Przypomniał on sobie niejasno, iż zaprosił pułkownika Starbottle by go jeszcze odwiedził po przyjacielsku i czuł nerwową obawę spotkania się z tym człowiekiem, którego szorstkość jego szorstkości dorównywała. Nabrawszy jednak sił, dzięki czystemu i łagodnemu powietrzu, posłał po Artura Poinset kartkę.

Punktualnie o wyznaczonej godzinie ukazał się ten gentleman i zdziwił się niemało gdy p. Dumphy przywołał komisanta i polecił mu, by nikogo nie wpuszczano. Następnie streścił Arturowi swą rozmowę z pułkownikiem.

— A teraz, powiedział, życzyłbym sobie byś mi pan dopomógł. W tym celu posłałem po pana. Otóż powiedz pan cobyś mi zaproponował?

— Pozwól mi pan naprzód zapytać, czy wierzysz temu, że żona jego żyje?

— Nie, odrzekł p. Dumphy prędko; ale naturalnie, że z pewnością nie wiem o tem.

— W takim razie ja pana, zaraz uspokoję: ona nie żyje.

— Czy pan wiesz o tem dokładnie? zapytał Dumphy.

— Tak jest. Trup, który poczytano za Grację Conroy, i który jako taki był sprawdzony, był trupem żony pana. Ja wiedziałem o tem, ponieważ wiadomem mi było, że Gracja Conroy już się tam nie znajdowała, gdy tragedya dosza do zakończenia.

— A dlaczego nie sprostowałeś pan tej omyłki?

— To już moja rzecz, odrzekł Artur wyniośle; sądzę, że pan zawezwałeś mnie w sprawie śmierci swej żony...

— A więc?

— Czy życzysz pan sobie przedsięwziąć kroki dla sprawdzenia faktu?

— Nie rozumiem co pan myślisz! rzekł Dumphy ze śmiałością, która zupełnie chybiła celu.

— Za pozwoleniem, panie Dumphy! Czy sądzisz pan, że osoba, która wysłała do pana pułkownika Starbottle, liczy tylko na niemożebność pana co do prawnego udowodnienia śmierci jego żony? A może też liczy ona na to, że pan nie jesteś usposobiony do przedstawienia dowodów tego? że wolałbyś, ażeby ten wypadek nie był wywlekany przed forum publiczne?

P. Dumphy ugryzł się w usta.

— Naturalnie, powiedział krótko, mogłoby się wypowiedzieć to i owo przez moich przeciwników, naprzykład, żem opuścił moją żonę..

— I dziecko, dodał Artur.

— I dziecko, powtórzył Dumphy ponuro... i że nie powróciłem... może tam jedno i drugie ukazać się w tych przeklętych gazetach, dopóki ich grubemi pieniędzmi nie okupię... ale cóż wyniknie z całego tego kramu? opuszczać żonę, to nic nowego i nadzwyczajnego w Kalifornii.

— Masz pan niezawodnie słuszność, odrzekł Artur z przekąsem.

— Więc co robić? Po to właśnie wezwałem pana.

— Musimy wywiedzieć się, kto właściwie ukrywa się za pułkownikiem Starbottle. Jestto widocznie ktoś taki, co wie przynajmniej tyle co my. A nawet możemy poczytywać się za szczęśliwych, jeżeli nie wie więcej. Czy masz pan kogo na myśli? Kto pozostał przy życiu? Zobaczymy no: pan, ja, może Gracja!

— To nie może być ta przeklęta Gracja Conroy.

— Nie, odrzekł spokojnie Artur. Pan wiesz, że jej tam wtedy nie było.

— Gabryel?

— Zaledwie mogę przypuszczać. A oprócz tego jest on przyjacielem pana.

— Przecież nie mógł to być.. Dumphy przerwał sam sobie z pewnem przerażeniem.

Artur zauważył to i spytał spokojnie:

— Kto nie mógłby być?

— Nie — nikt. Myślałem tylko czy czasami Gabryel, albo ktokolwiek inny nie opowiedział tej historyi jakiemu zręcznemu łotrowi.

— Zaledwie mogłoby to być...

— No, rzekł Dumphy z uśmiechem przypominającym wycie psa, jeżeli mam zapłacić za to by pani Dumphy została przyzwoicie pogrzebaną, to pan to wszystko uporządkujesz, ażebym pod żadnym względem nie potrzebował obawiać się zmartwychwstania. Staraj się pan dowiedzieć kto jest klientem pułkownika i wiele on, albo ona, spodziewa się odemnie otrzymać. Jak powiedziałem, jeżeli mnie ta sprawa ma kosztować, to mogę zapłacić i tem okupić przyjemność absolutnego milczenia. A więc oddaję tę sprawę w ręce pana.

I znowu wstał, zwykłym swym sposobem chcąc zakończyć rozmowę i wizytę.

— Dumphy, rzekł teraz Artur, nie wstając z krzesła, — są dwa powołania, które w braku szczerości ze strony tych, którzy szukają ich pomocy, mocno tych ostatnich narażają. Są to powołania lekarza i adwokata; nie mogę pojąć jak wobec swego adwokata można; być nie szczerym! Pan ukrywasz przedemną, którego pomocy zażądałeś, jakiś ważny powód; chociaż życzysz sobie ażeby cała sprawa została pogrzebaną pod śniegiem w wygłodzonym obozie.

— Niewiem do czego pan zmierzasz, odrzekł Dumphy, ale usiadł.

— A więc dobrze, rzekł Artur, udziel mi pan parę chwil uwagi. Być może, iż jestem w stanie wytłumaczyć, co myślę. Doktor Devarges mówił ze mną często o swoich naukowych odkryciach i przypominam sobie dobrze, że pomiędzy papierami jego widywałem często rysunki i opisy miejscowości, w których dostrzegł znaki wielkiego bogactwa kruszcowego. W owym czasie teorye i hipotezy doktora wydały mi się fantastycznemi. Pomimo to, gdyśmy w kanonie siedzieli o głodzie i gdy było wątpliwem czy doktor przeżyje swe odkrycia, zakopałem, zgodnie z jego żądaniem, jego papiery i zbiory pod pokładem kamieni. Po katastrofie, powróciwszy do obozu, przekonałem się, że kupa kamieni była przez kogoś rozrzucona i papiery i zbiory leżały rozsiane po śniegu.

Zatrzymał się i spojrzał na Dumphyego, który siedział przed nim oniemiały.

— Następnie — ciągnął dalej — ja, tak jak wszyscy Kalifornijczycy, z zajęciem i podziwem przypatrywałem się rozlicznym szczęśliwym spekulacjom pana. Z zadowoleniem, które uczuwają wszyscy przyjaciele pana, zauważyłem szczególne szczęście odznaczające jego górnicze przedsięwzięcia i zakupno udziałów. Ale zarazem mogłem skonstatować fakt, jak sądzę nikomu z jego przyjaciół nie znany, że prawie wszystkie miejscowości nabyte przez pana i suty dochód przynoszące, szczególnie zgadzają się z planami i rysunkami doktora Devarges.

Dumphy zerwał się na równe nogi z dzikim uśmiechem.

— A tak! zawołał gniewnie, — taka to gra!? taka?... Pokazuje się, że djabelnie szczęśliwie trafiłem wzywając właśnie pana do rady!... No, no, dalej! Posłuchajmy reszty! Jakie pan robisz propozycye?... i co będzie gdy nie przystanę na nie, hę?

— Pierwsza moja propozycya, zaczął Artur wstając z zimnym gniewnym wyrazem siwych oczu, — pierwsza moja propozycya jest taka, byś pan natychmiast cofnął to coś powiedział i przeprosił mnie. Jeżeli pan nie uczynisz tego, to na Boga żywego, uduszę go tu na miejscu jak stoisz!

Na chwilę zawrzała w Dumphym cała jego zwierzęca natura i instyktowo postąpił o krok ku Arturowi. Ten nie ruszał się. Następnie praktyczność wzięła górę. Usiadł więc znowu na krześle.

— Nie było moim zamiarem podejrzywanie pana, rzekł w końcu z wymuszonym uśmiechem. Wiem, że jesteś pan moim przyjacielem. Ale co do tych papierów, toś w najzupełniejszym błędzie! Ktoby tam nad tem suszył sobie głowę!

— Nikt, chybaby Devarges miał przyjaciół, lub spadkobierców.

— Nie ma żadnych.

— Ależ ta żona?

— Ba! byli rozwiedzeni.

— Czy tak?... Ależ podczas ostatniej naszej rozmowy powiedziałem mi pan, że rzeczywiście była wdową po doktorze Devarges.

— Niech się pan tem teraz nie martwi, zawołał Dumphy zniecierpliwiony. Posłuchaj pan! wiesz tak dobrze jak ja, że bynajmniej nie chodzi o to ile odkryć Devarges zrobił; wszystkie one razem nie byłyby warte szeląga, gdyby nie zrobiono czegoś dla nich.

— O to w tej chwili wcale nie chodzi, — rzekł Artur. — Nikomu na myśl nie przyjdzie atakować pański majątek ziemski. Ale możnaby spróbować zarzucić panu zbrodnię. Możnaby powiedzieć, że zburzenie owego pokładu kamieni, jest napadem, a zabranie papierów kradzieżą.

— Ale jak to udowodnić?

— Mniejsza o to. Kwestja, którą powinnieneś pan rozważyć jest taka: występuje oszustka z pretensyą, że jest żoną pana; pan i ja wiemy, że to jest oszustka i jesteśmy w stanie udowodnić to. Ona wie o tem, ale także wie i o tem, że jak tylko pan sprobujesz przytaczać dowody, to naraziszsz się na rozmaite zarzuty, które też ona niewątpliwie będzie gotową podnieść.

— A zatem, pierwszem dla nas jest, dowiedzieć się kto i czego żąda, hę? zapytał Dumphy

— Nie, odrzekł Artur spokojnie; pierwsze co powinniśmy robić jest: przytoczyć dowody, że żona pana rzeczywiście umarła; a ażeby to zrobić, musisz pan udowodnić, że Gracja Conroy żyła, gdy trup, który poczytano za nią, a który był rzeczywiście trupem żony pana, został znaleziony. Jeżeli pan możesz udowodnić ten fakt, w takim razie zniszczysz wiarogodność hiszpańskiego raportu. Jeżeli zniszczysz pan prawomocność tego raportu, to naturalnie, że jednocześnie zniszczysz wiarogodność wszystkich innych zawartych w nim faktów. Nie będziesz pan miał wcale żadnej trudności w prawnem udowodnieniu przez świadków, że Gracja przeżyła katastrofę.

Dumphy pomyślał zaraz o Ramirezie. Był to człowiek, który Grację widział i rozmawiał z nią, gdy ta obstawała przy swej tożsamości i fałszywości raportu wobec hiszpańskiego komen-

danta. Żaden świadek nie mógł lepiej od niego obalić wszelką wątpliwość, co do tego punktu.

Po krótkim więc namyśle, zdecydował się na krok dalszy i opowiedział historję o wydawaniu się pani Devarges za Grację Conroy i szybkiem a szczęśliwem przeistoczeniu się jej w panią Conroy. Artur słuchał go z widocznem zajęciem, a gdy skończył, siedział przez chwilę w myślach pogrążony.

— No i cóż? zapytał Dumphy niecierpiwie.

— A to, odrzekł Artur wstając i nakładając kapelusz, z miną człowieka, który zupełnie wyczerpał przedmiot rozmowy, że szczera otwartość pana zaoszczędziła mi masę roboty i trudności.

— Jakim sposobem? zapytał Dumphy.

— Teraz niemasz żadnej potrzeby szukać domniemanej żony pana. Istnieje ona obecnie jako pani Conroy, alias pani Devarges, alias Gracja Conroy. Ramirez jest jej świadkiem. Innego pan nie znajdziesz.

— W takim razie podejrzenie moje jest słuszne.

— Nie wiem na czem pan je opierałeś. Ale mamy tu przed sobą kobietę, posiadającą nieograniczoną władzę nad Gabryelem... Jeden on ze wszystkich mężczyzn, nas dwóch wyjąwszy, zna całą historyę głodowego obozu, wie jak pan opuściłeś swoją żonę, wie że umarła, że ja złożyłem papiery doktora Devarges pod owemi kamieniami i t. d. Wie także, że istnienie owej kupy kamieni było panu znane. Wie on o tem wszystkiem, ponieważ owej nocy, podczas której doktor wydawał mi ostatecznie swe rozporządzenia, znajdował się w chatce... była to noc podczas której podsłuchiwałeś przy drzwiach i Gracja przestraszyła się jego wilczego wzroku. Nie unoś się pan, proszę! ona mi wszystko opowiedziała. Obecność pana owej nocy podała mu do rąk wskazówkę, którą tak korzystnie umiałeś zużytkować; obecność pana właśnie usunęła wahanie się Gracji i zniewoliła ją do szukania ratunku w ucieczce ze mną.

Oba pobledli i spoważnieli. Artur podszedł ku drzwiom i rzekł w zamyśleniu.

— Jutro odwiedzę pana; do tego czasu muszę obmyśleć jakiś plan obrony. Mamy — powiedział w liczbie mnogiej, jak to jest zwyczajem adwokatów, gdy chcą słowom swoim nadać nacisk — mamy do walczenia z kobietą zręczną, co znaczny więcej aniżeli ze zręcznym mężczyzną. Naprzód zapamiętaj to pan sobie należycie, że Ramirez jest naszą obroną, naszym człowiekiem. Trzymaj się go pan jak własnego życia. Do widzenia.

Wyszedł. Jak tylko drzwi za nim zamknęły się, wpadł komisant z przedpokoju.

— Wydałeś pan rozkaz by mu nie przeszkadzano, a tu czeka ważna depesza z Wingdam na załatwienie.

P. Dumphy wziął ją do rąk mechanicznie, otworzył i przeczytał następujące wyrazy:

„Wingdam 7. 6. Dziś w nocy Ramirez został zamordowany na Conroy's Hill. Gabryel Conroy uwięziony. Pani Conroy znikła. Wielkie wzburzenie; usposobienie wrogie dla Gabryela. Czekam na rozkazy. „Fitch.“

Naprzód uczuł Dumphy jak w głowie mu dźwięczały, niby echo, pożegnalne słowa Artura Poinsetta: „Ramirez jest naszą obroną; trzymaj się go jak własnego życia.“ A teraz oto on, jedyny ich świadek, zamordowany przez mściwego Gabryela! Co teraz począć? Plan obrony musi być bezzwłocznie zmieniony; jutro mogłoby już być zapóźno.

Zawsze nastąpią sądowe poszukiwania, publiczne przesłuchiwania. A czy mógł on liczyć na przydłuższą nieobecność, lub neutralność pani Conroy?

Po tych uwagach Dumphy wziął się do pisania.

Napisawszy z pół tuzina listów, złożył je i zapieczętował; potem sam zaniósł do przedpokoju, a ztamtąd do kantoru.

Wiadomość o morderstwie widocznie musiała się już rozpowszechnić; komisanci stali w grupach, a głosy oburzenia i współudziału umilkły dopiero, gdy wszedł wielki człowiek.

— Fitch, rzekł on, z Judsonem udadzą się najkrótszą drogą do One horse gulch dziś wieczorem. Nie traćcie ani chwili czasu i nie żałujcie wydatków. Przybywszy tam wręczcie te listy, a następnie otrzymacie rozkazy od mego korespondenta. Zbierzcie wszystkie szczegóły, jakich będziecie mogli zasięgnąć o całej sprawie, a przedewszystkiem mnie o nich uwiadomcie. Jak stoi conto Gulch, panie Peebles?... Tak, mniej więcej, nie w ścisłych cyfrach?

— Wyżej niż zwykle, panie; poczyniono znaczne wypłaty.

— Zaciągnij je pan zaraz; może się znaleść ten lub ów głupiec, który postawi bank w związku z tą historją.

— Sądzę, rzekł Fitch z całem uszanowaniem, że powinniśmy uwzględnić pańskiego dyrektora, pana Conroy.

— Otrzymasz pan rozkaz od mego korespondenta, panie Fitch. Nie mamy nic do czynienia z prywatnemi sprawami. Panu Conroy pewno wymierzona będzie sprawiedliwość. Pora już, by położono koniec krzywdom wyrządzanym sławie kalifornijskich kopaczów złota. Jeżeli narazone jest dobre imię całej spółki i nadwerężony stosunek interesów dzikim czynem gwałtu pojedyńczego łotra, zawołał p. Dumphy podnosząc głos, ponieważ dostrzegł obecność kilku poważniejszych swych interesów z uwagą mu przysłuchujących się — to wielki jest czas raz i stanowczo zająć się tem.

ROZDZIAŁ X.

Hamlin rozstaje się ze starą miłością.

Jack Hamlin nie stracił wiele czasu w drodze z Wingdam do Sacramento. Był jednak tyle ostrożnym, że konia swego pozostawił w stajni na przedmieściu i przyprowadziwszy w sąsiednim hotelu do porządku swą toaletę, poszedł według danego mu prez Maxwella adresu.

Ale na rogu ulicy, znalazłszy się w odległości zaledwie kilku kroków od olbrzymiego szyldu z napisem „Pensionnat de Mme Eclair“ nagle zatrzymał się, krzyknął, wykręcił na piętach i począł powracać tą samą drogą, którą przyszedł.

Ażeby wyjaśnić dziwne postępowanie Hamlina zmuszony jestem wyjawić jedną jego tajemnicę, którą chętnie ukrywałbym przed pięknemi czytelniczkami. Przyjmując adres Olly od Maxwella, Hamlin pobieżnie tylko rzucił okiem na kartkę i dopiero stanąwszy przed domem z przerażeniem zmiarkował, że jestto pensja damska i że on przed kilku miesiącami rozpraszał swe nudy rozdzierającą serce, ale niewinną miłostką z jedną gorących uczuć wychowanką tego zakładu i prowadził z nią tajną korespondencyę.

Gdyby się tam udał we własnej swojej osobie, to nie wpuszczano by go, co nie dozwoliłoby mu widzieć się z Olly.

Od zamiaru swego jednak nie odstąpił. Skierował tylko kroki ku głównej ulicy, wszedł do fryzyera i potem znowu pojawił się na ulicy z potężnemi zielonemi okularami na nosie i gładko ogoloną twarzą. Długie, tak go zdobiące, wąsy znikły do ostatniego włoska. Jeżeli czytelnik weźmie pod rozwagę, że biedak ten w niemałym stopniu był rozmiłowany w swej powierzchowności, to pojmie jego silną wolę i oceni ogrom jego ofiary.

Pomimo to czuł pewien niepokój, gdy został wprowadzony do salonu wyznaczonego na przyjęcie odwiedzających na pensyi i przesłał podpisane przez Maxwella pismo uwierzetalniające pani Eclair.

Losy były mu przychylne; służąca powróciła z oznajmieniem, że panna Conroy za chwilę zejdzie na dół. Hamlin spojrzał na swój zegarek. Każda chwila była drogą; już poczynał niecierpliwić się, gdy drzwi znowu się otworzyły i Olly wsunęła się do pokoju.

Było to piękne i lube dziecię z otwartą wesołością małego chłopczyka we wzroku i zachowaniu się, z wielką czystością linij w całej postaci i twarzy, co w wysokim stopniu zachwyciło Hamlina, który, jak wiemy, był wprawdzie przyjacielem dzieci w ogóle, ale przytem do pięknych buziaków miał pewną męzką predylekcyę. Olly wyglądała tak jak gdyby wchodząc gwałtownie powściągała wielką ochotę do śmiechu, — i gdy Hamlin podszedł ku niej z wyciągniętemi rękami, ona podniosła swoje—z przestrogą, i ogl**ę**dnie zamykając drzwi powiedziała cicho:

— Ona zaraz zejdzie, jak tylko uda się jej prześliznąć pod drzwiami madame.

— Kto? zapytał Jack.

— Zofia.

— Jaka Zofia? zapytał Jack z powagą. Nie znał imienia swojej Dulcynei.

— A! pan postępujesz tak jak gdybyś o niczem nie wiedział! czekaj pan! rzekła Olly unikając pocałunku, który Jack zawsze miał w pogotowiu dla dzieci, — co pan chcesz? widziała ona pana z okna, gdyś pierwszy raz przychodził tu rano, a gdy następnie odszedłeś by pozbyć się swych wąsów i znowu powróciłeś, zaraz pana poznała! A teraz pan nie chcesz jej znać! No, proszę! To bardzo brzydko!...

— O, naturalnie! powiedział Jack prędko, z dobrze udanym wyrazem naturalnego uczucia,— Zofia... naturalnie... Ale ja i dla panienki coś przyniosłem!... karteczkę! tak moja śliczna, — i podał Olly kartkę Gabryela. Ku wielkiemu jego zdumieniu Olly przeczytała ją obojętnie i rzekła:

— To bardzo podobne do Gabryela — starego półgłówka.

— Ale pani zrobisz to co on pisze? zapytał Hamlin.

— Nie, odrzekła Olly krótko i stanowczo— nie zrobię tego. Bo do czego to, mój Boże! pan nie znasz tego człowieka, panie Hamlin; czy uwierzysz pan, że on co tydzień wyrabia takie sztuki! Pomyśl pan tylko! przeszłego tygodnia przysyła do mnie i każe powiedzieć, że mógłabym spotkać go tam, na rogu ulicy... jego, mego własnego brata... zamiast by poprostu przyjść tu, do czego przecież ma prawo. Jechać do niego do Wingdam? co się jemu uroiło!

— Ale zauważ pani, że on sam przybyć nie może, nalegał Hamlin.

— Dlaczego nie może przybyć? Ja panu mówię, że jestto czyste dziwactwo. Jeżeli mógł przyjechać do Wingdam, to dlaczego nie mógłby przyjechać tu?...

— Czy pozwoli mi pani przeczytać kartkę? zapytał Hamlin.

Olly podała mu ją z taką uwagą:

— Pisze on nie bardzo ortograficznie, czego o mnie nie mógłby powiedzieć... stary niezdara.

Hamlin wziął kartkę i przeczytał co następuje:

„Kochana Olly! Jeżeli to nie przeszkodzi twoim lekcjom i jeżeli madame przyzwoli i młode damy także, to brat Gab czeka na ciebie w Wingdam. Teraz nic więcej od kochającego ciebie brata. „Gab."

Hamlin znalazł się w niemałym kłopocie. Nigdy w planach jego nie leżało zawiadomienie Olly o ważności ich podróży. Ale teraz stał wobec trudności, na którą nie liczył. Wszakże zwykle prędko sobie radził.

— Więc myślisz pani, że Zofia będzie mogła widzieć się ze mną? zapytał nagle i z zajęciem.

— Rozumie się, — odrzekła Olly swobodnie, — to bardzo sprytnie ze strony pana! zaznajamiać się z Gabryelem i kazać mu napisać tę kartkę; ale to taki cymbał, że każdy może go wyprowadzić w pole. Ale otóż i ona nadchodzi, panie Hamlin; to jej kroki na schodach. Sądzę, że już mię pan więcej nie będziesz potrzebować.

I wysunęła się z pokoju, w tej samej chwili, w której ukazała się słuszna, zgrabna, młoda dama w niebieskiej sukni.

Przez wzgląd na Hamlina, pomimo rozmowy, jaka miała miejsce między nim a panną Zofią: że przekonał młodą damę, o niezmniennej swej wierności, że długie swe milczenie wytłumaczył powątpiewaniem o dalszem trwaniu wzajemności; że obecność jego w tej chwili była szczęśliwym wynikiem długo i głęboko obmyślanego planu, by ją raz jeszcze ujrzeć i z własnych jej ust usłyszeć zapewnienie miłości i wierności — o tem, jestem pewny, że nikt należący do płci mojej powątpiewać nie będzie. Z drugiej strony również sądzę, że nikt z należących do płci pięknej także o tem nie wątpi.

Po dziesięciu minutach rozmowy powiedział, głębokim do serca przenikającym tonem:

— Udało mi się wsunąć do rąk pannie Conroy kartkę; jeżeli to coś mi tylko powiedziała, Zofio, jest prawdą; jeżeli w samej rzeczy wspominasz sobie czasami przeszłość, to pójdziesz do Olly i sprowadzisz ją tu... prawda, Zofio? zrobisz to?... Musisz sprowadzić tu dziewczynę, Zofio, i namówić by ze mną pojechała.

Wymowa Hamlina była tak przekonywającą, że panna Zofia zaraz wyniosła się i energicznie wezwała Olly, by się zrzekła swego oporu.

— Jeżeli w ten sposób postępujesz, ty szkaradny dzieciaku — powiedziała jej, — po tem wszystkiem z czem tobie zwierzyłam się, to chciałabym wiedzieć jaka panna na pensyi wyzna ci co kiedykolwiek!

Taka groźba, sprawiła to, że Olly kartkę Gabryela przedstawiła pani Eclair i po otrzymaniu łaskawego przyzwolenia tej damy, w godzinę potem znalazła się już w drodze, w towarzystwie Hamlina. (C. d. n.)

Mania Curaciosa

obrazek z życia u wód

przez

Autora Kłopotów starego komendanta.

(Ciąg dalszy.)

— Cóż tobie się stało? — jak można coś podobnego zrobić! — zawoła przestraszona Matylda — Stasiu, zkąd przyszła ci do głowy myśl podobna... Obraził się...

— A niech się obraża... ależ to egzemplarz... Jak Boga kocham egzemplarz z zielnika... Cha, cha, cha... czysty Piotrowina... jakiś pedant medyczny... winszuję... winszuję... Madziu kochana, masz gust... niechże cię uściskam... no, no...

— Matyldo — zawoła ojciec wydobywając ostrożnie książeczkę notatkową z bocznej kieszeni i podając takową córce — proszę cię, zanotuj mi tę tabakę... jak to, jak? przez trzy dni naczczo łyżeczkę kopiastą...

— Zmartwiłeś mię jak nigdy — mówi siostra do Stanisława — anim się spodziewała po tobie takiej brutalności... Niechże ojciec da pokój z tą książeczką, on żartował.

— Nie, nie, jest w tem logika, zanotuj, proszę cię...

— Ja tego człowieka tak szanuję — powtarza swoje Matylda odbierając machinalnie książeczkę z rąk ojca — ja tak go stawiam wysoko... zacny, szlachetny... Nie mogłeś mi zrobić większej przykrości...

— Przepraszam cię Madziu — rzecze Stanisław usilując pocałować wymykającą się i zagniewaną siostrę. — Cóż zrobię, nie podobał mi się i kwita! Nudziarz, hypochondryk, nic więcej... zobaczysz mojego wujaszka... to wcale inny człowiek... ma tam swoje wady... ale nie to... Wiesz, wyborna rzecz, gdybyś ty miała iść za niego. To mi szwagierek! No, idziemy na spacer?

— Idź sobie sam!

— Nie gniewaj się, wielka rzecz, żarty...

— A któraż tam godzina, Matyldo? — woła radca siedząc wciąż nieruchomie na ławce.

— Dopiero piętnaście minut... Widzisz — mówi zwracając się do brata — nie mogę odejść od ojca.

— Zatem do widzenia kochana trukawko; idę szukać Maryni, już musiała przyjechać. Cóż znowu? Widzę gniewasz się naprawdę!... Dajże pokój... cóż żartowałem, ale go przeproszę, jeżeli ci o to idzie... no, przeproszę najformalniej, daję ci słowo honoru.

I mimo dąsów pani siostry, zapaliwszy papierosa, poprawiwszy krawatkę, nasz bohater skierował się ku furtce ogrodowej nucąc jakby nigdy nic nie było:

„Oj udało się dziewczynie,
„Że mię w swojej mocy ma.

Ledwie że schował się za sztachetami ogródka, zasapany pan Klemens wyszedł ze drzwi domu, a stawiając kapelusz na stole rzecze prędko do Matyldy:

— Darujesz pani, choć to jej brat, ale dziwnie... dalibóg jeszcze mi się nic podobnego w życiu nie przytrafiło.

— Nie śmiem usprawiedliwiać, doprawdy jestem zdumiona... serce jak najlepsze, ale szczególniejsza lekkomyślność.

— Fiksat czasami! mówię ci panie Klemensie — wtrąca ojciec — on to trochę ma po matce swojej, i ona też czasami miała takie napady...

— Powiadam pani, tak się zirytowałem, że cały drżę; co ci ludzie sobie teraz myślą..

— Nic panie nie myślą i rzecz skończona! Dobrze zjeść, dobrze wypić, ładnie się ubrać i nic nie robić... bieda z tą młodzieżą.

— To po cóż pan wychodzisz z domu — prosi Matylda — nie lepiej spocząć?

— Jestem przekonany, że ubyło mię przynajmniej pół funta z tej awantury, ale muszę; właśnie odebrałem telegram, że kuzynka moja z guwernantką dzisiejszą pocztą przyjedzie; dyliżans przychodzi o jedenastej... Nie spodziewałem się takiego spotkania z bratem pani... żegnam, do widzenia.

— Cóż mi też ten Stasio narobił — zawoła pani Matylda załamując ręce po odejściu Klemensa — słyszał ojciec? Jak można tak ni ztąd ni zowąd nieznajomemu człowiekowi robić takie wyraźne niegrzeczności.

— Chcesz moje dziecko, to ja mu powiem za to ojcowską reprymendę — rzecze staruszek — choć Bogiem a prawdą, oni teraz nie bardzo słuchają starszych, mają rozumy wielkie, straszne rozumy! A nie żałowałem pieniędzy na edukacyą, był i w Liége, a żadnego poloru...

— Formalnie zdrętwiałam — mówi jakby do siebie Matylda.

— Bo czemuż nie powiedziałaś mu, że to twój narzeczony; widzisz, trzeba go było uprzedzić. Ja, kochanie moje, byłbym mu powiedział, ale nie kazałaś... kiedy sekret, więc niechże będzie sekret... Nie martw się, nie... Wiesz co, Matyldo?

— Nic nie wiem.

— Plecy mię bolą, ta ściana taka twarda, że już wysiedzieć nie mogę, ile jeszcze?

— Dziesięć minut... zawołać Jakóba, dobrze?...

— A zawołaj, niech mię odprowadzi...

Jakoż za chwilę zjawia się przygarbiony Jakób i wziąwszy pod rękę pana radcę, prowadzi jak ociemniałego do pokoju...

— Doigra się pan z temi oczami, doigra... Kto to widział mając taki dobry wzrok kurować się i kurować... Żebym to ja robił, co już liter na książce nie zobaczę, ale pan...

— Ha trzeba ci było wcześnie pomyśleć nad tem, teraz już klamka zapadła... Ale to u was niedbalstwo takie, miłosierdzie Boże... nic się nie myśli o przyszłości.. mądry Polak po szkodzie...

Scena z panem Klemensem widocznie zmartwiła na seryo panią Matyldę, bo po wyjściu ojca usiadła zadumana na krześle i nie spostrzegła jak z furtki w sztachetach weszło kilka nowych osób do ogródka.

— Panie profesorze, proszę mi podać rękę, upadnę z tych wschodów — odzywa się już nie młoda dobrej tuszy kobieta, niosąc w jednej ręce torebkę podróżną, a drugą przytrzymując małego szpica, który usiłuje wyrwać się na ziemię. — Filuś nie kręć się!

— Jakiż to śliczny ogródek! — woła młoda lat może siedmnastu panienka, zbiegając szybko na środek i rozpatrując się do koła.

— Prawda, że ładnie — odzywa się znany nam pan Klemens sprowadzając ostrożnie ze schodów pierwszą damę. — Tu właśnie z panią Matyldą przepędzamy dnie całe.. ale otóż i ona...

— Przedstawiam pani — rzecze zbliżając się do krzesła, na którym siedzi Matylda — sio-

strzenicę moję, Marynię, a to pani Hortensya, nasza przyjaciółka i ochmistrzyni...

Gdy panie podają sobie wzajemnie ręce na powitanie, panna Hortensya dodaje:

— Wykwalifikowana nauczycielka do szkół wydziałowych...

— Serdecznie rada jestem — odzywa się z wdzięcznym uśmiechem Marynia — z poznania pani, i choć do tego mam najmniejsze prawo, proszę racz przyjąć podziękowanie moje za łaskawą opiekę nad wujem... — a do Klemensa ciszej: — nie przesadziłeś kochany wujaszku, nadzwyczaj ujmująca powierzchowność.

— Cóż to za cera pargaminowa — szepcze do ucha Maryni Hortensya — schorowana... Przepraszam państwa, ale ja muszę usiąść, jestem zmęczona... Co te góry mają do siebie, że zawsze jest się zmęczoną i głodną... Ale, ale wiesz pan profesor, ubyło mię dwa funty... Filuś proszę być grzecznym...

— Jakiż tu cudny krajobraz! — szczebiocze Marynia zdejmując kapelusz i rozglądając się do koła — ta góra pokryta świerkami, które wyglądają jakby jeden rósł na drugim, a ten biały krzyż sterczący na samym szczycie... cudownie, cudownie tu w Krynicy!

— Pozwoli pani — odzywa się do Hortensyi Matylda — że na początek chcę odegrać tu rolę gospodyni i zaproponuję śniadanie. Nasz służący przyniesie z restauracyi co panie zadysponują...

— Marynia wątpię aby co jadła, ona już piła kawę na stacyi, ale ja lubię potrawy pożywne, prowadzę życie hygieniczne... mięso i mięso... to pokarm najwięcej zbliżony do natury człowieka... Filuś, bo cię wyrzucę precz!... Moja zasada nie dopuści choroby... unikać, o ile można unikać... bo w zdrowem ciele zdrowa dusza... I żebym miała większą władzę nad panem profesorem, żeby mię chciał słuchać, byłby tak zdrów jak ja...

— I codzień ważyłby dwa funty mniej jak pani — wtrąca śmiejąc się Marynia.

— Więc może polędwicę? Jakóbie, Jakóbie! — woła do drzwi mieszkania Matylda, a gdy ten pokazuje się we drzwiach mówi dalej: — proszę cię idź do restauracyi i przynieś porcyą...

— Sztuki mięsa z sosem kartoflanym — dodaje Hortensya — tylko mój staruszku, wybierz kawałek od kości, bez kwiatka, rozumiesz! Tłuszcz jako nierozpuszczalny, szkodzi...

— Po co jej tam kwiatka — mruczy sobie Jakób — byłby jak przy kożuchu.

— Jakże się pani podoba Marynia? — pyta ciszej Klemens zbliżając się do Matyldy.

— Milutkie dziecko — odpowiada również półgłosem — prawdziwa wiosna życia, roskosz...

— Prawda, kochana pani — odzywa się Marynia obejrzawszy cały ogródek — że po objedzie zaraz idziemy w góry na spacer. Będziemy biegać, wdzierać się na szczyty, i wujcio z nami i panna Hortensya musi, to bardzo zdrowo. I on jak przyjedzie, mówię wujciowi dzielny chłopiec, drapie się jak kot po skałach...

— Żałuję bardzo, kochana pani — rzecze Matylda — ale ja nie mam sił na takie wycieczki...

— Żebym ja mógł — dodaje wzdychając wujaszek — żebym mógł... Ha, jeżeli jeszcze *Contraracaco* nie pomoże, to już przyjdzie powiesić się na pierwszej lepszej gałęzi...

— Jestem przekonana, że pomoże — wtrąca Matylda — takie lekarstwo z Indyi, zachwalone... Konsul je przesłał do Anglii... (C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

XI.

„Kwiecień — plecień“ powiadają, a ubiegły tydzień pewno się nie przyczyni do polepszenia reputacyi niestałego miesiąca. Po kilku dniach ciepłych i jasnych, zimno, nieustanny prawie deszcz ze śniegiem, nieuniknione przytem nasze lwowskie błotko — oto przyjemności tegorocznej wiosny. Cofnęli się więc z placu boju — nie Moskale i Turcy, lecz murarze, którzy zachęceni pierwszymi promykami wiosennego słońca, zaczęli już byli roboty około wykończenia budynków w roku zeszłym pod dach wyprowadzonych, i robotnicy wysłani do urządzenia nowych skwerów, którymi p. prezydent miasta chce tego roku Lwów przyozdobić. Jednym z nich zazieleni się plac Chorążczyzny, drugim plac Halicki przed „pałacem“ — *sit venia verbo* — niegdyś Potockich, w którym do niedawna mieściło się kasyno mieszczańskie. Wdzięczniśmy p. prezydentowi za to przyozdobienie naszego miasteczka, ale jeszcze bardziej bylibyśmy wdzięczni, gdyby chciał nacisnąć nieco tak zwany „zarząd czyszczenia miasta“ o większy na ulicach porządek. Ale nie dzisiaj pora występować z zażaleniami, kiedy właśnie odbyła się inauguracya nowego trzechlecia prezydentury, przez złożenie przysięgi w obecności całej Rady miejskiej i gremium radców magistratu do rąk namiestnika kraju, kiedy zatem należy nam złożyć życzenia, aby rozpoczęte w ten sposób nowe trzechlecie wydało jak najlepsze dla miasta owoce.

* * *

Mieliśmy w ubiegłym tygodniu inną jeszcze inauguracyą, o której piszemy jedynie z tego powodu, z jakiego np. pisze się czasem o lichej powieści dla pouczenia, jak *nie* należy powieści pisać. Była to inauguracya nowego budynku szkoły realnej, szydząca z wszelkich zasad pedagogii, taktu, a nawet z prostego obowiązku wdzięczności. Dobry pedagog nie omija żadnej sposobności do wywarcia dobrego wpływu na umysły i serca młodzieży. A kiedyż lepsza nadarza się sposobność, jeżeli nie w chwili takiej, gdy się szkołę przenosi do nowego z funduszów publicznych, a jak w tym wypadku, kosztem gminy wzniesionego budynku, kiedy zatem można młodzieży przypomnieć jak wielki ma dług do spłacenia społeczeństwu, które mimo ubóstwa swego zdobywa się na ofiarność dla kształcenia swej młodzieży, kiedy można uroczystem urządzeniem takiej inauguracyi, udziałem w niej poważnych i wysokie stanowiska zajmujących osobistości, stosownemi przemowami, podnieść w oczach młodzieży szkołę do godności świątyni! Stało się jednak przeciwnie, a cały akt ten odbył się w sposób prawdziwie lekceważący, i zostawił po sobie tylko... kwasy. Nie chcemy naruszać osobistości, więc nie podnosimy kwestyi, kto tu winien. Ktokolwiek nim jest, stało się źle, a wina tem większa, że niedawno, przy inauguracyi budynku gimnazyum polskiego dano piękny przykład, w jaki sposób dobry pedagog z takiej sposobności wywarcia wpływu na młodzież skorzystać potrafi.

* * *

Rozpoczętym już robotom na placu przyszłej wystawy krajowej, nie sprzyja pogoda. Wskutek nadspodziewanie licznych zgłoszeń musiano pierwotne plany znacznie rozszerzyć, zamierzone bowiem budynki nie byłyby pomieściły zgłoszonych już przedmiotów. A wobec energicznego zajęcia się sprawą komitetu wystawy, który wysyła delegatów dla ożywienia czynności na prowincyi, spodziewać się można, że liczba zgłoszeń znacznie się jeszcze pomnoży. Dowiadujemy się, że krajowe biuro statystyczne zamierza wystąpić z kartogramami, przedstawiającymi stan szkół i oświaty w kraju według powiatów, i produkcyą rolniczą. Biuro miejskie zaś ma wystawić diagram uzmysławiający fluktuacyą cen zboża na targu Lwowskim od roku 1805, obliczonych na dzisiejszą miarę i na walutę austryacką. W dziale typograficznym będzie także reprezentowaną grafika statystyczna — jeden z litografów lwowskich bowiem ma wystawić wykonane w swojej prcowni diagramy, ułożone przez biuro statystyczne czerniowieckiej kolei.

* * *

„Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu“, dla czegożby kronikarz nie mógł przez lwowską wystawę krajową dostać się wprost do sprawy adresu dziękczynnego, który ma być ze Lwowa przesłany municypalności rzymskiej za uczczenie pamięci Adama Mickiewicza. Autorem adresu jest Kornel Ujejski — domyślić się więc łatwo, że z pod pióra poety gorące wypłynęły słowa. Żałujemy tylko bardzo, że nie starano się zawiadomić szerszej publiczności o tem, gdzie adres ten można podpisywać, że nie złożono arkuszy w redakcyach i innych miejscach publicznych, jak się zwykle w takich razach robi. Znamy bardzo wielu, którzy chętnieby podpisali, a nie mogą się spotkać z arkuszami prywatnie tylko z rąk do rąk podawanymi. Czy nie dałoby się to jeszcze naprawić? a to tem bardziej, że inne teraz gotują się adresy także do Rzymu, które pewno znajdą licznych zwolenników zaagitowanych konfesyonałem i kazaniami O. O. Jezuitów. Niech więc adres wystosowany do stolicy zjednoczonej Italii liczniejszymi podpisami się okryje, aniżeli ten, który ma oddawać hołd zaciętemu i zasadniczemu przeciwnikowi jedności narodu włoskiego. A jeżeli pierwszy adres już może wysłany, można w ślad za nim wysłać jeszcze dodatkowe arkusze z podpisami przystępujących do niego.

* * *

Inny jeszcze adres, lokalnej już natury, wartoby podpisać, a przynajmniej redakcya nasza niniejszem go podpisuje: do dyrekcyi teatru, żeby nie puszczała p. Zboińskiego ze Lwowa. Pogłoski o wyjeździe jego do Warszawy utrzymują się uporczywie, i wychodzą ze źródeł bardzo kompetentnych. Dla naszej sceny byłaby to nieodżałowana strata. Pospieraliśmy się ostatnimi czasy z p. Zboińskim o wybór sztuki na benefis, tem gorliwiej teraz podnosimy, iż scena lwowska straciłaby w nim artystę, który z każdej, choćby najmniejszej roli, umiał stworzyć typ żywy i pełen prawdy, a nie sadząc się na efekta, nie tworząc karykatur, właśnie przeto silny wywoływał efekt, — artystę, który nieustannie nad sobą pracował i czynił znaczne postępy. Spodziewamy się, że dyrekcja, dla zapobieżenia tej stracie, którą publiczność nasza żywoby uczuła, uczyni wszystko co w jej mocy, ażeby p. Zboińskiego zatrzymać.

Listy z Anglii

Sygurda Wiśniowskiego.

Londyn 11 kwietnia 1877.

Jeżeli który z moich czytelników miał sposobność poznać Anglią i jej stosunki ekonomiczne przed kilkoma laty, przypomina on ją sobie zapewnie czynną, dumną z nazwy „warstatu kuli ziemskiej" i „banku ucywilizowanego świata", pożyczającą pieniądze wszystkim rządom, zaopatrującą wszystkie ludy w przedmioty komfortu i zbytku. Jej młoty i kowadła pękały wówczas od nawału pracy, jej okręta nie miały czasu zatrzymać się w portach dla niezbędnych naprawek, jej przędzalnie i rękodzielnicy nie spoczywali nawet w nocy. Taką Anglią ja pamiętam. Ją pożegnałem przed kilku laty... lecz takiej Anglii już nie zastaję. Wróciwszy do niej, spotykam tak gwałtowne i kardynalne zmiany, tyle dowodów upadku i zastoju, że pierwszy list z szeregu moich londyńskich korespondencyj do *Tygodnia*, muszę poświęcić ekonomicznym stosunkom angielskim i opisowi zmiany, która mnie zadziwiła i przeraziła.

Ostrzegano mnie, że polscy czytelnicy nie lubią długich kolumn cyfr i rozwlekłych statystycznych porównań, więc nie będę się starał dowodzić liczbami, jak dalece przemysł i handel angielski w latach 1876 i 1877 nie dorównywają kwitnącej epoce z lat 1871 i 1872. Upadek ten i obecną niedolę tutejszych klas roboczych i handlowych pojmiecie jednak i bez cyfr, z następujących ogólnych uwag.

Wywóz wyrobów angielskich zmniejsza się od lat czterech stopniowo i z przerażającą gwałtownością. Kraj ten wysłał za granicę w roku przeszłym o 50 procent mniej wyrobów, niż w roku 1872. Ponieważ skutkiem przeludnienia kraju i wielkich potrzeb tutejszej ludności, żaden naród na kuli ziemskiej nie zawisł tak dalece od wywozu wyrobów jak Anglia, więc ubytek wywozu płodów górniczych, hutniczych i rękodzielniczych wywiera tu podobne skutki, jakieby u was wywarły kilkuletnie złe żniwa, lub we Francyi długoletnie chybienie winnic. On zniewala kupca do życia nie z dochodu lecz z nadwerężania kapitału, robotnika zaś do bezczynności i niedostatku.

To zmniejszenie się produkcyi fabrycznej i wywozu angielskiego trwa wciąż i zapewne długo jeszcze trwać będzie, wnosząc z faktu, że w lutym r. b. wysłano ztąd za granicę o 12 procent mniej towarów niż w lutym 1876. Jak dalece lud tutejszy cierpi, okazuje się z okoliczności, iż w tymże miesiącu r. b. spożyła Anglia $2^1/_2$ miliony centnarów mniej pszenicy, niż w odpowiedniej epoce roku poprzedzającego, dowód oczywisty, że lud angielski jest coraz gorzej karmionym.

Z upadkiem handlu i przemysłu idzie w parze niezadowalniający stan skarbu publicznego. Cła i akcyza, te główne źródła angielskiego dochodu publicznego, nie wydały tyle z końcem r. 1876, ile minister skarbu się spodziewał, i prawdopodobnie wydadzą mniej jeszcze w roku bieżącym. Po raz pierwszy od lat wielu zjawił się deficyt w budżecie, który wypadnie zapełnić podwyższeniem podatków bezpośrednich, mianowicie zaś dochodowych, tak nie lubianych w Anglii. Dawniej dochód prześcigał zwykle oczekiwania ministrów, dawniej kłopotano się z końcem każdego finansowego roku, co począć z nadwyżką dochodów nad wydatki, dawniej spierali się ekonomiści tutejsi nad tem, który podatek znieść wypada, lub jakie cło zmniejszyć, aby przywrócić równowagę w budżecie i nie zbierać więcej pieniędzy, niż naród wydać zdoła. Dziś nastąpiły stosunki wręcz przeciwne. Niespodziana zmiana przeraża Dżon Bulla i dowodzi mu dotkliwie prawdę, której długo nie wierzył, że Anglia przestaje być kapitalistą i fabrykantem kuli ziemskiej.

Wszystko to czują najboleśniej i najprędzej klasy robocze. Kędy się obrócę od czasu przyjazdu do Anglii, słyszę skargi wyrobników, rzemieślników, żeglarzy i ludzi fachowych na brak zajęcia, zniżenie płacy i niedostatek,

Co dnia czytam w gazetach o zamykaniu wielkich fabryk, skrócaniu godzin pracy w warstatach nie zamkniętych, zmniejszaniu płacy dziennej i tygodniowej o 10, 20 a nawet 25 procent. Tak zwane „unie", czyli stowarzyszenia rzemieślników, które niedawno dyktowały chlebodawcom ile godzin i za jaką cenę wyrobnicy angielscy powinni pracować, opierają się bezskutecznie przeciw wspomnionemu zmniejszeniu wynagrodzenia. Nie ma wprawdzie miasta i okolicy, w którychby w obecnej porze nie próżnowały tysiące rękodzielników, skutkiem rozkazu wspomnionych unii. Bezrobocia te doszły do przerażających rozmiarów, wywołując gwałty i inne smutne następstwa, gdyż członkowie unii starają się rozmaitymi sposobami, aby robotnicy nienależący do stowarzyszeń i nieuznający rozkazów ich zarządu, nie przyjmowali zajęcia po cenach zniżonych. Pomimo jednak doskonałej organizacyi tych stowarzyszeń, przegrywają one sprawę, gdyż naturalne stosunki ekonomiczne usprawiedliwiają chlebodawców. Fabrykanci nie mogą, pomimo najlepszych chęci, zajmować robotników po dawnych cenach, wobec faktu, że towary ich albo zalegają w składach, albo bywają sprzedawane o pół taniej niż dawniej. Unie długo nie uwzględniały biedy chlebodawców, długo rozdawały zapasy zebranych w lepszych latach, na zapomogi tygodniowe dla swoich bezczynnych członków. Setki tysięcy górników, hutników, tkaczy, cieśli, murarzy i t. p. rzemieślników żyją w tej chwili w Anglii z takich żołdów płaconych im przez zarządy swoich stowarzyszeń. Kasy unii wyczerpują się jednak z rzędu; członkowie ich zostają bez pomocy i środków do życia i z konieczności przyjmują najnędzniejszy zarobek — szczęśliwymi się mieniąc, jeżeli zdołają znaleźć jakiekolwiek zatrudnienie.

Ze wszystkich gałęzi przemysłu angielskiego najbardziej zapewne ucierpiały kopalnie węgla, fabryki żelaza i przędzalnie bawełny i wełny. Kilkudniowe oglądanie rozmaitych składów przekonało mnie, że od niepamiętnych czasów nie widziano w angielskich szpichlerzach tyle węgla, szyn żelaznych, maszyn wszelkiego rodzaju i tkanin. Bóg wie jak długo będą tam leżały te przedmioty, które świat rozchwytywał niegdyś skwapliwie. Dziś nie możnaby ich zbyć na żadnym rynku zagranicznym. Stany Zjednoczone, ta wielka targowica dla angielskich wyrobów, nietylko nie potrzebują ich zupełnie, lecz nawet przesyłają swoje produkta na rynki angielskie. W podobny sposób postępuje Belgia, Francya a nawet Niemcy. Kraj, co nie tak dawno nic nie otrzymywał z zagranicy oprócz surowców, które przerabiał i wywoził napowrót w formie cennych towarów, dziś się przeraża na widok okrętów wyładowujących w jego dokach towary zagraniczne równej doskonałości i o wiele tańsze niż angielskie. Gdyby ktoz nas, cudzoziemców, mieszkających w Anglii lub jej koloniach, przed laty dziesięciu przepowiedział Anglikom ten gwałtowny przewrót, byłby się naraził na szyderstwo a może i czynną obelgę. Pomiędzy dogmatami świętymi w oczach Dżon Bulla był i ten, że Anglia, królowa morza i rękodzielnictwa, pokona wszelką konkurencyą przemysłową nie tylko na własnym gruncie lecz i za granicą. Dopiero ostatnie lata rozczarowały Anglików pod tym względem. Wprawdzie nie mogą oni dotąd uwierzyć, żeby ten stan rzeczy mógł trwać długo. Im zdaje się jeszcze, iż po kilkuletnim zastoju, Anglia znów zostanie warstatem i bankiem ucywilizowanego świata. Wnoszę jednak z rozmaitych oznak, mianowicie zaś z nieoględności i niewyrozumiałości roboczych klas tutejszych, które w żaden sposób nie chcą żyć na wzór konkurujących z nimi robotników kontynentalnych, oraz wciąż narażają fabrykantów na zawody i straty skutkiem kapryśnych bezroboci, wnoszę ztąd powtarzam, że Anglia nie łatwo odzyska ów monopol przemysłu i handlu, który posiadała jeszcze, gdy przed kilku laty byłem jednostką jej społeczeństwa i sam wierzyłem, iż żadna konkurencya nie zdoła zachwiać jej dobrobytu.

Zastój w przemyśle angielskim jest faktem niezaprzeczonym. Nie cieszy on mnie zgoła, gdyż pomimo wielu złych stron Anglików, każdy miłośnik wolności, sprawiedliwości i postępu, musi mieć żywą sympatyą dla kraju, który niezaprzeczenie wydawał siew cywilizacyi dla całego świata, rodził dążenia za autonomią i konstytucyonalizmem, przyświecał szczepom mniej oryginalnym i pracowitym przykładami rzutności i pracowitości, był, że tak powiem, mózgiem Europy i jej nauczycielem. Koniec końcem, gdybyśmy wglądnęli w życiorys jakiejkolwiek nowoczesnej teoryi lub jakiegokolwiek wynalazku, przekonalibyśmy się że zaród ich wyszedł z Anglii. Serce więc boli na widok tylu niezaprzeczonych dowodów zastoju i zubożenia, jakie spotykam tak często od chwili mojego powrotu do wielkiej, wolnej, przedsiębiorczej i wolnohandlowej Anglii.

Najdobitniejszy dowód jej cofnięcia się wstecz czerpię zaś z okoliczności, iż w prasie angielskiej i rozmowach z Anglikami spotykam coraz częściej niezdrowe zasady ekonomiczne i polityczne. Uderzyło mnie mianowicie coraz powszechniejsze żądanie o interwencyą rządową w stosunkach robotników i chlebodawców. Średni stan angielski przypisuje obecne klęski ekonomiczne niewyrozumiałości robotników. Twierdzi on, zapewnie słusznie, że kraje ościenne i Stany Zjednoczone nigdyby nie były rozwinęły swojego przemysłu tak wysoko, aby z Anglią mogły konkurować, gdyby wyrobnicy tutejsi byli uznali zawczasu konieczność pracy taniej i sumiennej. Zamiast takowego uznania rujnowali oni kapitalistów swojemi kaprysami i niedbalstwem. Połączyli się w unie. Zasadą tych unii było najpierw, aby każdy robotnik płacił pewną sumę tygodniową, gwoli zebraniu funduszu na karmienie członków stowarzyszenia w czasie bezrobocia, powtóre zaś, żeby każdy członek unii otrzymywał wygórowaną i jednostajną cenę za swoje godziny zajęte. Z tego systemu wynikło, iż robotnik niezręczny lub leniwy zarabiał tyleż dziennie, ile brał jego zręczny i energiczny towarzysz. Skutkiem tej równości zarobku ten ostatni tracił wszelki zapał do pracy. Pocóż się uczyć i po co trudzić — mówił on — gdy nauka i trud nie przysporzą dochodu, gdy nieuk i leń tyle pieniędzy dostanie za mitrężenie czasu, ile ja biorę za obracanie go na korzyść chlebodawców?

Despotyzm unii i zrównanie wszystkich ich członków do rzędu mierności, do dziś kwitną w całej potędze, nawet pomimo obecnego zastoju. Znaczna liczba stowarzyszeń zgodziła się pod naciskiem okoliczności, na chwilowe zniżenie ceny pracy, lecz żadna nie wyrzekła się zasady, iż każdy członek unii, każdy rzemieślnik i wyrobnik, zły czy dobry, ma prawo do równej zapłaty. Twierdzą one dotąd, iż ustawienie normy zapłaty za dzień albo tydzień pracy, nie może być przedmiotem dobrowolnego kontraktu pomiędzy chlebodawcami i pojedyńczymi robotnikami, ale jest sprawą stowarzyszeń. Uniom tylko wolno powiedzieć ile pensów albo szyllingów mają pobierać ich członkowie za godziny, dni lub tygodnie roboty. Zasada ta, przyjęta przez większość robotników angielskich, ogranicza wolność osobistą tak panów jak

*

i wyrobników, obdarza zaś zarządy unii, złożone często z ludzi niewyrozumiałych i niepojmujących bieżących stosunków ekonomicznych, samowładnem prawem rujnowania kapitalistów i zmuszania robotników do próżniactwa. Przykład takiej samowoli widzimy obecnie w Londynie i kilku innych miastach. Stowarzyszenie murarzy wzbrania swoim członkom przyjąć mniej za godzinę pracy niż 7 pensów. Chlebodawcy ofiarowują 6, zaklinając się, iż więcej dać nie mogą. Wobec biedy powszechnej tysiące murarzy przyjęłoby 6 pensów za godzinę, nie śmieją jednak wyłamać się z pod rozkazów unii. Przedsiębiorcy, nie mogąc lub nie chcąc płacić 7 pensów, wstrzymali budowanie domów. Murarze zostali bez zajęcia. Bezrobocie to naraża robotników na niedostatek: rujnuje zaś do szczętu przedsiębiorców, albowiem ci ostatni nie mogą dokończyć robót rozpoczętych, ani dokonać kontraktów podpisanych. Podobny stan rzeczy widzimy też w kopalniach węgla i żelaza w Księstwie Wallii. Tam, skutkiem rozkazu unii, górnicy, hutnicy i giserzy próżnują od dawna, właściciele zamknęli swoje kopalnie i lejnie, całe powiaty nędzę cierpią, a nędza ich oddziaływa szkodliwie na resztę kraju, gdyż tu, nakształt sieci wielkiej, wszystkie części kraju odczuwają uszczerbek jednego ogniwa.

Despotyzm unii, przeciwny zasadom anglosaskiej indywidualności i wolnego prawa zarobkowania, staje się pobudką do innego rodzaju zaparcia się angielskich idei. On rodzi owe niezdrowe zachcianki prasy i średniego stanu, o których wspomniałem poprzednio. Wyrażają się one w żądaniu, aby rząd i parlament wmięszały się w sprawę pomiędzy uniami i robotnikami a chlebodawcami. Słowem, szukają one lekarstwa na nie-angielskie wszechwładztwo stowarzyszeń rzemieślniczych w równie nie-angielskiej idei, aby państwo regulowało stosunki pomiędzy kapitałem i pracą, broniło kapitalistów od kaprysów robotników.

Obręb korespondencyi nie pozwala mi rozbierać szczegółowo tej kwestyi, albo wyświecać dłużej niedorzeczności rozkiełzanych rękodzielników i przerażonych panów angielskich, podaję więc tylko do waszej wiadomości fakt niezaprzeczony, iż kwestya socyalna, trapiąca Niemcy albo Francyą w formie zawichrzeń politycznych i agitacyi wyborczych, kończących się wyborami posłów o skrajnych opiniach, tutaj nurtuje całe społeczeństwo niemniej zawzięcie, chociaż pod inną formą. Nie słyszymy o wyborach socyalistów do parlamentu, lecz co dnia patrzymy na olbrzymie sztrajki, bankructwa, nędzę krzewiącą się coraz wyższych warstw społecznych. Opinie nie zgodne z naukami ekonomii społecznej władają umysłami pauprów, projekta lekarstw niemniej niepraktycznych znajdują wstęp do umysłów klas rządzących. Któż zdoła przepowiedzieć koniec i skutki przesilenia przemysłowego i ruchów ekonomicznych wywołanych w Anglii w ostatnich latach, skutkiem jej zubożenia?

(Dok. nast.)

Tydzień Warszawski.

IV.

Wojna! Gdzie się ruszysz słyszysz tylko o wojnie...

Za Żelazną Bramą policya skupowała mięso, które ma być wysłane na granicę.

Dostawcy wojskowi otrzymali rozkaz natychmiastowego udania się do pułków;

Lekarze już mają wyznaczone okręgi na czas wojny;

Przez ulice miasta co chwila przechodzą roty gwardyi w pełnym stroju pochodowym;

Armaty ciągną odświeżone i wychuchane jak cacka, a artylerzyści wywijają stemplami.

Nareszcie ostatnia wiadomość nadbiega i wywołuje komentarze: Car jedzie do Kiszeniewa — a potem...

Zgadnijcie: co potem? Oto nie czując się dość bezpiecznym na łonie swych wiernych poddanych, przyjeżdża do nas niewiernych buntowników, aby zamieszkać w Skierniewicach.

Taką radę miał dać jenerał Trepow, który wie z doświadczenia, że u nas udają się tylko zamachy na oblicze, ale nie na życie...

I oto znowu rozpoczyna się dla nas stadyum gorączki. Cukiernie przepełniają się, chłopcy z gazetami biegają jak opętani, a kierownicy opinii publicznej stukają się w palce. Wojna czy pokój? Kto zacznie: Sułtan czy car? Kto skończy: Azya czy Europa? Różni różnie twierdzą, a poczciwe *Echo*, jak stara babka w gawędzie Syrokomli, na dwoje wróży: w jednym numerze daje aż dwa wstępne artykuły, jeden na temat: „Wojna za pasem,“ a drugi pt. „Jeszcze chwila zwłoki.“

O utinam falsus sim vates! ale zdaje mi się, że ta chwila dłużej się przeciągnie niż myślą.

Tymczasem miasteczko nasze dokończa swych zajęć pokojowych. Po wykładzie prof. Tarnowskiego najwięcej ruchu obudziły odczyty dra Juliana Ochorowicza „O twórczości poetyckiej“ z powodu wprost przeciwnej tendencyi; a ponieważ gorąco były przyjęte przez publiczność, *Wiek* dziwi się, że tak zapamiętale klaskały też same ręce, „które puchły od oklasków dla p. Tarnowskiego.“ Zdziwienie to jednak nie zupełnie jest słusznem; wprawdzie ogół zawsze jest wrażliwym na szczery wylew przekonań, chociażby te różnej były natury, ale i to pewna, że publiczność nie była tą samą. U nas niektórzy przynajmniej prelegenci mają już swoje koła zwolenników i przeciwników, wskutek czego w gazetach czytać można zdania wprost sprzeczne. Niektórzy oburzają się na sam fakt wprowadzania różnych *kierunków* naukowych i społecznych na katedrę wykładów popularnych i radziby słyszeć tylko objektywną popularyzacyę prawd ustalonych. Zapewne że w znacznej części tak być musi i powinno — ale z drugiej strony nie widzimy potrzeby usuwania różnorodności poglądów, która jedynie wprowadzić może pierwiastek żywotności do wykładów. Publiczność zresztą tak zasmakowała w odczytach rozbudzających poważnie ducha stronnictw, że prelekcya p. Milicera, chemika, znanego z wybornej wymowy i gruntownej wiedzy „O pargaminie roślinnym,“ znacznie już mniej ściągnęła słuchaczów. Ze swej strony podły nasz rząd robi co może, ażeby szkodzić odczytom; nie pozwolono im odbywać się o godz. 8ej pod pozorem, że szkodzą teatrowi i naznaczono godzinę 1szą z południa. Przyjąć taką godzinę w dnie powszednie, znaczyłoby to wprost uniemożliwić ich powodzenie. To też zarząd Towarzystwa Dobroczynności wniósł prośbę o zmianę, ale ledwie zdołał wyjednać godzinę 4tą po południu, która nie wiele jest dogodniejszą. Cenzurę przytem tak obostrzono, że najwytrawniejszy prelegent nie jest w stanie przewidzieć co mu puszczą a czego nie.

Treści odczytów p. Ochorowicza nie przytaczamy, ponieważ mają być drukowane w waszem piśmie. Słyszałem także, że redakcya *Tygodnia* zamówiła u Bolesława Prusa jego powiastkę „Żyjące Mamuty,“ która ma być odczytana z katedry i budzi takie zajęcie w publiczności, że większą część biletów już zawczasu rozkupiono. Nasz „młody Lam“ coraz więcej zyskuje zwolenników.

Wznowiono tu „Ducha Wojewody“ Grossmana; publiczność, która się nasłuchała pochwał dzienników wiedeńskich, chciała koniecznie udać zapał, i w tym celu starannie biła brawo, wynagradzając autorowi dawniejsze chłodne przyjęcie, ale na drugiem przedstawieniu już było pusto — a jednak tańczono mazura, tańczono go tak jak tylko w Warszawie tańczyć umie p. Popiel i cały nasz dziarski balet! Nie macie pojęcia czem dla Warszawy jest mazur tańczony w strojach narodowych w teatrze, cóż chcecie, tyle naszej wolności, tyle życia!

Wędrowni dyrektorowie teatrzyków już ukazują się w Warszawie. Strach pomyśleć, ile będziemy mieli tego rodzaju rozrywek! Zjeżdżają do nas na lato towarzystwa: lubelskie, kaliskie, poznańskie, a oprócz nich trupy pp. Trapszy, Texla i Rybackiego. Tivoli, Alkazar, Alhambra, Eldorado, nawet Antokolski ogródek na Pradze są już zamówione. Dopieroż-to ludek nasz cisnąć się będzie! Oby tylko pp. dyrektorowie zdrową dawali strawę...

Teatr letni w ogrodzie Saskim rozpoczyna przedstawienia w czerwcu komedyą Sardou: „Wuj Sam,“ którą to sztukę grał już na prowincyi p. Trapszo, pisząc jednak nazwisko Sama przez małe *s*, wskutek czego publiczność ubolewała nad losem „wujenki.“

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

Woda do picia a epidemie.

W październiku zeszłego roku odbył się kongres hygieniczny w Brukseli; na jednem z jego posiedzeń profesor G. Bischof przedstawił obszerną pracę, traktującą o związku pomiędzy wodą do picia a epidemiami. Aby oznajomić czytelników naszych z ważnymi rezultatami, do których doszedł prof. Bischof, podajemy ich krótkie opisanie.

Najnowsze badania przyrodniczo-lekarskie, naprowadzają na myśl, że owa trucizna roznosząca zarazę, owe tak zwane *Contagium*, zarazek, które cholerę, tyfus i wiele innych chorób epidemicznych z jednej osoby na drugą przenosi, składa się, według wszelkiego prawdopodobieństwa z małych, zaledwie pod mikroskopem widzialnych żyjących istotek, które należą do najniżej stojących zwierząt i roślin, a raczej są na pograniczu między zwierzętami a roślinami. Należeć one mają po większej części do tak zwanych *bakteryj*, istot mikroskopowych, towarzyszących zwykle gniciu substancyj organicznych.

Te drobne zarażające żyjątka przenoszą się z jednej osoby na drugą, za pomocą najrozmaitszych środków. Często służy im do tego powietrze, a jeszcze częściej woda. Ze wszystkich wód używanych do picia najzdrowszemi są te, które pochodzą ze źródeł zwykłych, lub też artezyjskich, i te, które płyną w miejscowościach górzystych, nieuprawianych ręką człowieka. W nich mikroskopowe istoty żyjące, znajdują mało warunków pomyślnego rozwoju. Podejrzanej dobroci jest woda deszczowa, przechowywana w podziemnych zbiornikach, i woda spływająca z pól uprawianych; niebezpieczną zaś woda rzeczna i pochodząca ze zwykłych niegłębokich studzien.

Na największą uwagę zasługuje ta ostatnia kategorya, gdyż z rzek i studzien najczęściej czerpiemy naszą wodę. Wiadomo, że zwykle wszystkie ścieki, znoszą miastowe brudy do wód rzecznych, jest więc bardzo prawdopodobnem, że z temi nieczystościami i owe zaraźliwe istotki do rzek się przenoszą. Na nieszczęście, nie chroni od tego ani staranna filtracya, jak to okazała epidemia grasująca w r. 1872 w Lausen. w Szwajcaryi, ani też wystawianie wody przez długi czas na działanie powietrza, które sprowadza utlennianie się materyi organicznej, jak to okazały doświadczenia bezpośrednio robione. Powiadają często, że w wodzie rzecznej, te wszystkie nieczystości są ogromnie rozrzedzone, i że to chroni nas od zbytniego ich rozmnażania się. Pogląd ten okaże się fałszywym, jeśli się tylko zwróci uwagę na prędkość rozmnażania się tych istotek. Według F. Cohna potomstwo jednej jedynej bakteryi, postawionej w dogodnych warunkach, mogłoby w 5ciu dniach wypełnić cały ocean.

To cośmy dotąd twierdzili, wywnioskowane

jest teoretycznie; zobaczmy co powiada doświadczenie. W Glasgowie używano dawniej do wodociągów wody z rzeki Clyde; wtedy podczas trzech epidemij z r. 1832, 1849 i 1854 umierało z epidemii $121^2/_3$ osób na każde 10000 mieszkańców. Wprowadzono później do wodociągów wyborną wodę z Loch Katrine, i podczas epidemii w r. 1866 zamiast $121^2/_3$ umarło tylko $1^6/_{10}$ na 10000. Dowodzi to, że chociaż była w tej okolicy wystarczająca ilość zarażających organizmów, to jednak nie mogły się one dobrze rozwijać w czystej, z dala sprowadzonej wodzie, gdy tymczasem dawniej w wodzie rzecznej rozmnażały się wybornie.

Już wiele tego rodzaju faktów skonstatowano, i tak np. podczas silnego wybuchu cholery, we wschodnich dzielnicach Londynu, w r. 1866 zupełnie podobny wypadek miał miejsce.

Tak samo ma się rzecz i ze zwykłą wodą w studniach, do których przesiąkają najrozmaitsze brudy z podwórzy domów. Niebezpieczeństwo jest tu jeszcze większe, gdyż trudniej je dostrzedz, i *contagia* mogą się znajdować w stanie bardziej skoncentrowanym. Weźmy tylko pod uwagę, jeden bijący w oczy przykład. Na Broad Street w Londynie umarło w r. 1854 dziecko na ostrą diarrheę. Niektóre jego chorobliwe wydzieliny, przesiąkły wskutek złego urządzenia do wody znajdującej się w studni, która w ten sposób stała się od razu środkiem, od którego epidemia rozeszła się na wszystkie strony. Z 860 mieszkańców tej ulicy, umarło 90. Gdzie tylko użyto wody z tej studni okazała się epidemia; ci, którzy jej nie pili, ocaleli, chociaż nawet w tym samym domu mieszkali. Dwie damy, które się niedawno wyniosły w inne okolice miasta, lecz które tak przywykły do dawnej wody, że posyłały codzień do owej studni, umarły także na cholerę. Wypadek ten wykazuje, że przezroczystość wody, jej smak dobry i brak odoru, nie gwarantują wcale jej czystości pod względem higienicznym.

Wobec tych smutnych faktów nasuwa się ważne pytanie: w jaki sposób należy postępować, żeby woda przez nas używana była nieszkodliwą? Odpowiedź na to łatwa: przedewszystkiem pić wodę taką, która nie może być w żaden sposób przez ludzi zanieczyszczoną, a więc wodę ze źródeł górskich, studni artezyjskich, lub wodę z gór dalekich wodociągami sprowadzaną. Dopiero w drugim rzędzie ma wartość filtracya. Zwykłe wodociągowe filtrowanie przez piasek ma małe znaczenie, organiczne zarodki nie mogą być w ten sposób wstrzymane. Natomiast małe filtry do domowego użytku z węgla kościanego, lub tak zwanej gąbki żelaznej, są wyborne.

Świeży węgiel z kości bardzo dobrze usuwa organiczne zanieczyszczenia; musi on jednak być co 3 lub 6 miesięcy odnawianym, stosownie do ilości przefiltrowanej wody. Komisya rządowa angielska znalazła w starym, długo używanym węglu i w wodzie przezeń przefiltrowanej całe myriady małych żyjątek. Najlepsze rezultaty otrzymała ta komisya z gąbczastem (metalicznem) żelazem. Podczas 8miomiesięcznych prób filtrowania, otrzymano skutki najbardziej zadowalniające. Według orzeczenia komisyi, woda z Tamizy, przefiltrowana przez taką gąbkę, miała wszystkie własności wody ze studni artezyjskiej, t. j. najmniejszą ilość substancyi organicznych, przezroczystość i smak dobry.

W interesie więc zdrowia ogólnego, powinniśmy szczególną zwracać uwagę na wodę, którą w miastach używamy do picia; bo tu leży zwykle źródło zarazy. Wrócimy jeszcze niedługo do tego przedmiotu, i pomówimy o wodzie którą we Lwowie mamy, i o jej znaczeniu pod względem higienicznym. Nasunie się nam wtedy nie jedna interesująca uwaga, i nie jeden uderzający w oczy przykład niedbalstwa, w urządzeniach sanitarnych naszego miasta.

Piśmiennictwo polskie.

Fryderyk hr. Skarbek: Dzieje Polski. część II — *Królestwo Polskie od epoki początku swego do rewolucyi Listopadowej. Poznań 1877 nakładem J. K. Żupańskiego str.* XVIII *i 314 8o.*

Konstytucyjne Królestwo kongresowe nie doczekało się dotychczas swego historyka. Genialnem piórem Maurycego Mochnackiego rzucony zarys dziejów Królestwa, jest szkicem tylko, który autorowi posłużył jako wstęp do listopadowej rewolucyi. Przeznaczony tylko do wyjaśnienia wypadków tego ruchu narodowego, zarys Mochnackiego pomijał wiele szczegółów do wypełnienia obrazu potrzebnych, podnosił te tylko strony, które się w swych skutkach w powstaniu silnie odbiły, te tylko uwydatniał osobistości, które na losy powstania ważny wpływ wywarły. A w charakterystyce ich, autor mając z góry postawiony cel przed sobą, nie umiał zupełnej zachować bezstronności, i na ludzi działających w czasach konstytucyjnego Królestwa, zapatrywał się ze stanowiska zajmowanego już podczas powstania. Po Mochnackim nagromadził się bardzo już znaczny materyał w licznych pamiętnikach i epizodowych monografiach, który jednak dotychczas przez nikogo jeszcze zupełnie i zadowalniająco wyzyskanym nie został.

Skwapliwie przeto wzięliśmy do rąk książkę, której tytuł powyżej podano, w nadziei, że wypełni ona należycie tę ważną lukę w porozbiorowej naszej historyi. A do nadziei tej upoważniało nas przedewszystkiem nazwisko autora prawdziwie znakomitych Dziejów Księstwa Warszawskiego, które w rzędzie monografij historycznych o czasach porozbiorowych niewątpliwie jedno z pierwszych miejsc zajmują. Doznaliśmy jednak zupełnego rozczarowania. Nie znaleźliśmy w książce tej ani nowych, nieznanych dotychczas szczegółów, dotyczących czy to polityki rządu i narodu, czy też administracyi Królestwa lub wreszcie wybitnych ówczesnych osobistości, ani żywej charakterystyki czasu, ani bezstronnej i nietendencyjnej opowieści tego, co już zkądinąd było znanem. Wprawdzie autor sam powiada w przedmowie, że jego dzieło ma być „nie tyle historyą Królestwa konstytucyjnego, ile raczej krytycznym rozbiorem dziejów kraju tego“; ale do takiego prawdziwie krytycznego rozbioru tak mało podano w dziele samem materyału, że właściwie nazwaćby je trzeba: „Poglądy hr. Skarbka na dzieje Królestwa“ a nie dziejami, nie dalszym ciągiem dziejów Księstwa Warszawskiego.

Skreśliwszy w kilku rysach politykę rządów carskich wobec Polski, i opisawszy bardzo pobieżnie przebieg sprawy polskiej na kongresie wiedeńskim, autor uważa słusznie Królestwo kongresowe z konstytucyą jego, jako twór polityczny, który w danych warunkach żadną miarą na czas dłuższy ostać się nie mógł: „Królestwo Polskie powstało jakby na przekór dwóch przeciwnych sobie narodowości: dla jednej, t, j. dla Polskiej było za mało, dla drugiej t. j. dla Rossyjskiej za wiele.“ Za mało dla nas bo nie rozciągnięto narodowych i konstytucyjnych swobód na całą dawną Polskę, za wiele ze stanowiska Moskali, bo swobodny ustrój królestwa nie licował z despotycznym charakterem rządów caratu. Z tego założenia wyprowadza autor wniosek, iż obie strony w postępowaniu swem błądziły: Aleksander w tem, że bez nadawania Królestwu liberalnej konstytucyi i rządu parlamentarnego (którego nawiasem mówiąc, zwolennikiem autor nie jest), powinien był wszystkie kraje polskie jakie posiadał połączyć, zapewnić im narodowy język w szkołach, sądach i urzędach, oddać w zarząd wyłącznie Polakom, i rządy tak prowadzić, by na tem nie ucierpiała ani narodowość polska, ani materyalny byt kraju. Polacy zaś — zdaniem autora — w tem pobłądzili, że biorąc na seryo konstytucyą nadaną przez Aleksandra, poczęli się bawić w opozycyą, która w dalszem następstwie wywołała niechęć cara i represye ze strony Moskwy, a zaś ducha rewolucyjnego w narodzie polskim, i pchnęła go ostatecznie do powstania.

Śmieszną byłoby rzeczą spierać się dziś, co miał uczynić panujący, który nie mógł zapominać o tem, że jest carem Moskwy, a z drugiej strony skutkiem wpływów, jakie chwilowo na niego działały, chciał się bawić w liberalnego przyjaciela Polaków. Ale co do błędu, jaki mieli, według autora, Polacy w konstytucyjnem Królestwie popełnić — to sąd jego nie wytrzyma krytyki. Bo jeżeli ówczesna polityka nasza miała za punkt wyjścia brać to, iż konstytucya na seryo daną nie była — to naturalnie lepiej stracić ją po obronie, która ducha narodu wzmocnić tylko i patryotyzm jego spotęgować mogła, aniżeli po demoralizującem przystawaniu na wszelkie bezprawia, na stopniowe tej konstytucyi łamanie. Co więcej: nie biorąc na seryo tych kart w dzienniku praw na czele zamieszczonych a podpisem Aleksandra i później przysięgą Mikołaja poręczonych, uważając je jako świstek zadrukowanego papieru, a nie jako wzajemne praw i obowiązków unormowanie, naturalną było rzeczą skorzystać skwapliwie z tego, iż zbiegiem szczęśliwych okoliczności mieliśmy własną a najlepszym duchem natchnioną armię, która z każdą inną śmiało mierzyć się mogła, i użyć tej armii na to, by rozdarłszy ową obłudną konstytucyą, z nią razem rozedrzeć sztuczne związki z caratem. I nie to było błędem pokolenia ówczesnego, że podniosło powstanie, które miało wszelkie szanse powodzenia, ale że go nie podniosło w czasie wojny moskiewsko-tureckiej, kiedy siły caratu zajęte były na południu, a powtóre, że podniósłszy je w r. 1830, nie umiało mimo wszelkich po temu warunków poprowadzić sprawy ku pomyślnemu końcowi.

Myśl powyżej wyrażoną, przeprowadza autor konsekwentnie przez całe dzieło. Ztąd też liczne błędy, nawet i takie, które nawet samą tendencyą autora wytłumaczyć się nie dadzą. I tak zmianę w usposobieniu Aleksandra przypisuje autor dwom tylko przyczynom, które niewątpliwie ważny, ale nie wyłączny, wpływ wywarły. Naprzód niezgodności stanowiska konstytucyjnego króla i absolutnego cara w jednej osobie, a powtóre opozycyjnym zapędom sejmowym i pozasejmowym. Zapomina zaś o trzeciej równie ważnej przyczynie tej zmiany: o prądzie reakcyjnym, który wszystkie rządy europejskie był ogarnął, i szczególniej po r. 1820 wzmógł się potężnie, a którego głównym reprezentantem było „święte“ przymierze mocarstw rozbiorowych. Wpływ ten dzia-

łał tak silnie, i tak porywał za sobą Aleksandra, że te wszystkie rozporządzenia, które świadczyły o zmienionem jego dla Polaków usposobieniu i łamały konstytucyę, szły równolegle z rozwojem europejskiej reakcyi, i przypadają ściśle na też same lata, które się zaznaczyły reakcyjnemi in nych rządów czynami. Mając to na oku, musimy przyjść do przekonania, że bez listopadowego powstania byłoby Królestwo tak samo utraciło swoję konstytucyą i narodowe swobody, jak je utraciło po powstaniu, i że Aleksander i Mikołaj nie tylko jako carowie moskiewscy, jako władcy w największej części swego państwa zupełnie samowładni, ale także jako przywódzcy europejskiej reakcyi przerażonej Tugendbundami i rewolucyjnemi na południu Europy ruchami, *musieli* konstytucyą Królestwa Polskiego łamać i w końcu znieść zupełnie. Przepomnienie o tym wpływie europejskiej reakcyi na postępowanie niby-konstytucyjnych królów w naszym kraju, jest tak wielką luką w dziele hr. Skarbka — jak wielkim błędem jest zdanie wypowiedziane przez autora w przedmowie, że dzieje nasze porozbiorowe są „bez znaczenia politycznego, bez wypadków do historyi powszechnej zapisać się mogących“. Owszem — tak jak rozwój wypadków europejskich oddziaływał silnie na nasze losy, tak też i w tem co się od stu lat działo i dzieje w Polsce, liczne są momenta powszechno-dziejowego znaczenia. O tem oddziaływaniu wzajemnem zapominać nie można, jeżeli dzieje mają być obrazem powiązania przyczyn i skutków, a nie prostą opowieścią faktów.

Nie jest to jednak jedyna luka, jaką znajdujemy w dziele hr. Skarbka. Wiadomo, jak wielki wpływ na kierunek ówczesnych rządów w Polsce i ich zmienne postanowienia wywierała rywalizacya między Nowosilcowem a Lubeckim, która przechodziła nieraz w otwartą walkę i była ukrytą sprężyną wielu działań rządowych. O tej rywalizacyi autor zaledwie wspomina. Wiadomo dalej, jak nowy zwrot poezyi w Polsce oddziałał silnie na umysły, i jak potężnie przyczynił się do popchnięcia narodu na tory powstańcze. Historyk śledzący przyczyny wypadków, nie może w opisie dziejów kongresowego Królestwa pominąć po za granicami Królestwa leżącego, ale z losami jego ściśle związanego uniwersytetu wileńskiego, w którego murach narodziła się owa poezya, nie może pominąć historyi prześladowania młodzieży wileńskiej, z której grona wyszedł autor Ody do młodości. Tak jak powyżej wytknęliśmy niedostateczne wyjaśnienie przyczyn, jakie wpływały na usposobienie cara dla Królestwa i na postępowanie jego rządów — tak tu widzimy znowu pominięcie jednego z ważnych bardzo wpływów, wyjaśniających kierunek jaki przybrały działania ówczesnego pokolenia w Polsce. Zobaczymy jeszcze, jak autor stronniczo działania te osądza, jak niesprawiedliwie potępia ten kierunek skutkiem apriorycznie postawionej zasady: iż Polacy pod rządami niby-konstytucyjnymi Aleksandra i Mikołaja powinni byli z pokorą przyjmować każde tej konstytucyi pogwałcenie, a już broń Boże nie zrywać się do listopadowego „buntu“. (Dok. nast.)

TEATR.

Skąpiec Moliera.

W poniedziałek na benefis p. Fiszera przedstawiano Skąpca i p. Fiszer mógł się przekonać, jaką sympatyą otacza go nasza publiczność. Teatr pełny był od dołu do góry, ledwie się można było przecisnąć do krzeseł przez tłumy stojących widzów.

Beneficyant naturalnie występował w głównej roli, i miał tem trudniejsze zadanie do spełnienia, że występował przed publicznością, która nie tak dawno widziała w tej roli takich specyalistów do Skąpca jak Rapacki i Rychter. Gdybyśmy powiedzieli, że im dorównał, i że dał jednolity i skończony typ skąpca, byłoby to pochlebstwo i to jałowe pochlepstwo, tak dzielny bowiem artysta, jak p. Fiszer, nie potrzebuje tego rodzaju zachęty. Nie, Skąpiec p. Fiszera był urywaną improwizacyą, która miała szczęśliwe chwile, ale nie miała obmyślanej całości, a która dość słabą okazała się w najważniejszej chwili, mianowicie po zniknięcu szkatułki. Scena ta, stanowczo kulminacyjny punkt sztuki, nie wywarła wrażenia, jakiego się zwykle od niej oczekuje.

Najważniejsze role w Skąpcu po Harpagonie są bez wątpienia syna, kucharza i subretki; wszystkie inne są tak obojętne, że ich ani dobrze, ani źle grać nie można. Otóż co się tyczy syna to p. Kwieciński wywiązał się z tej roli z niewielkim kosztem ale z wielką swobodą. Za to pani Linkowska była podobniejszą do jakiejś stręczycielki lwowskiej, aniżeli do subretki francuskiej; nie było w niej nic elegancyi i wdzięku właściwego tej roli, charakteryzacya zaś jej była prawdziwie oburzająca. Przypominaliśmy sobie panią Doroszyńską w tej roli, jej grę lekką, swobodną, pełną elegancyi; szkoda że ją nasz teatr utracił! W roli kucharza występował dawniej p. Doroszyński i grał o wiele lepiej od p. Dębickiego, który zamiast grać spokojnie, silił się wszędzie na komizm i naturalnie osłabiał przez to efekt komiczny swej roli.

Publiczność rzęsistymi oklaskami wyrażała sympatye swoje dla beneficyanta, a po trzeciem akcie z krzeseł parterowych rzucono mu wspaniały wieniec.

POGADANKI.

XXXI.

Dzienniki warszawskie przyniosły nam temi dniami melancholiczną wiadomość o śmierci Karola Pieńkowskiego, który padł ofiarą długoletnich cierpień fizycznych i moralnych. Znakomity niegdyś poeta, ulubieniec salonów warszawskich, w r. 1863 Pieńkowski należał do organizacyi narodowej, poczem wypadki wygnały go z kraju, wraz ze starszym bratem, Adolfem. Po śmierci tegoż, Karol pozbawiony rodzinnego punktu oparcia, a z usposobienia wewnętrznego koniecznie podpory takiej potrzebujący i pragnący, miotany burzami emigracyjnego żywota, a w końcu samotny tułacz w Bałkanach, popadł w nałóg, z którego wywiązała się fatalna choroba... W r. 1872 przywieziono go do Lwowa, gdzie z początku atmosfera ojczysta sprawiła w nim zbawienną reakcyą. Zdawało się, że będzie jeszcze mógł pracować. Wstąpił do redakcyi *Dz. Polskiego*, tłumaczył dla tego pisma powieści do fejletonu, pisywał wiersze i t. d. ale niestety, fatalna choroba wzięła górę i nieszczęśliwy coraz bardziej stawał się ciężarem sobie i drugim. Gdy wrócił ze Lwowa do Warszawy, był to już tylko cień człowieka, budzący u jednych litość, u drugich odrazę. Kto go znał bliżej, ten musiał dostrzedz, że właśnie najdelikatniejsze i najdelikatniejsze strony charakteru człowieka i poety, stały się pośrednio przyczyną jego upadku. W jakich też to różnych formach te zapasy narodu naszego z jego wrogami, pochłaniają swoje ofiary!

* * *

Po długiej, długiej przerwie pojawił się pośród „Daniszewów“ i innych modnych jednodniówek tego rodzaju, „Skąpiec“ Moliera na scenie lwowskiej. Publiczność, jak gdyby chciała dać poznać dyrekcyi, czego pragnie, napełniła salę do tego stopnia, że wszystkie miejsca były sprzedane. Zapewne też jednę część tego sukcesu kasowego należy położyć na karb p. Fiszera, na którego benefis dawano tę sztukę, i który jest ulubieńcem naszej publiczności. O występie jego w roli Harpagona była w *Dz. Polskim* wzmianka bardzo pobieżna i bardzo niesprawiedliwa, należy bowiem wiedzieć, że artysta w dzień przedstawienia był słabym i nie mógł wskutek tego grać tak, jakby był grał w przeciwnym wypadku. Pomimo to każdy, przypatrzywszy się grze jego, przyznać musiał, że p. Fiszer jest jedynym dziś u nas młodym artystą powołanym do zastąpienia starszych mistrzów, którzy jeden po drugim ustępują z pola. Szkoda tylko, że potrzeba aż benefisowego przedstawienia, ażeby artyści nasi mieli sposobność dać się nam poznać w sztuce godnej widzenia. Nie poniosłaby ponoś dyrekcya szkody materyalnej, gdyby spróbowała odszukać w pyle swojej biblioteki, jedno po drugiem arcydzieło Moliera. Toż w porównaniu z niektóremi nowoczesnemi ramotami, już nawet i Kotzebue zaczyna wyrastać w Moliera!

* * *

Ściągnąłem na *Tydzień* okropną burzę ze strony *Piasta*, a niktby nie zgadł, czem? Oto pozwoliłem sobie niedawno skonstatować fakt, że nasz obchód „święconego jest tradycyą pogańską, która nie ma nic wspólnego z chrześciańską uroczystością Zmartwychwstania Pańskiego.“ Nie miałem ci ja przytem i mieć nie mogłem najmniejszej nadziei, by grom mojej „Pogadanki“ wpadając między jaja i inne emblemata wielkanocne, nadmiernego między niemi narobił spustoszenia. Tymczasem, jak się pokazuje, albo zamach mój na „święcone“ był w istocie zamachem, mimowolnym oczywiście, na jednę z podwalin katolicyzmu w Polsce, albo też ks. Stojałowski uznał, że najskuteczniej zdoła bronić swojej sprawy i rozgłosić swoje imię z poza barykady wzniesionej z bab, szynek, kiełbas i mazurków. Dosyć, że z mojej winy *Tydzień*, z kazalnicy *Piasta*, ogłoszony jest jako pismo „lubujące się w skandalach,“ i którego żaden prawowierny katolik do rąk brać nie powinien. Już to, co się tyczy skandalów, to w istocie nieraz z obowiązku dziennikarskiego wspominam o publicystycznych i retorycznych popisach ks. Stojałowskiego, ale przyrzekam solennie, że uczynię to jak najrzadziej i wtenczas tylko, gdy konieczna potrzeba tego wymagać będzie.

* * *

Nim skończę pogadankę, muszę jeszcze zrobić jedno doświadczenie meteorologiczne. Ile razy dotychczas, dla braku innego przedmiotu, albo dla nadzwyczajnych w istocie objawów na naszem niebie ojczystem, wspominałem o pogodzie, spostrzegłem zawsze, że nim jeszcze odnośny numer *Tygodnia* opuścił prasę, aura zmieniła się tak, że to, co napisałem, nie było już na czasie. Skoro więc widocznie niebo uwzięło się, by dementować moje „Pogadanki“ w sposób tak kategoryczny, przyczynię się może do dobra ogólnego konstatując, że mamy od dwóch tygodni powietrze obrzydliwe, nieznośne, zimne, i mokre, i że tak szkaradnej wiosny jak tegoroczna, najstarsi Galicyanie przypomnieć sobie nie mogą. Zobaczymy, może to poskutkuje!

Jan Lam.

BIBLIOGRAFIA
polska.

— Agassiz Ludwik. Plan stworzenia. O podstawach przyrodzonych powinowactwa między zwierzętami. Przekład Karola Jurkiewicza prof. war. uniw. 8ka str. 113. Objaśnione 50 drzeworytami w tekście. Warszawa. 1876. 1·50.

Od tłumacza. Ludwik Agassiz i działalność jego naukowa. Podstawy przyrodzone powinowactwa między zwierzętami. Wszelkie życie w jaju bierze swój początek. Rozwój jaj. Początki życia w jaju. Zmiany w jaju. Życie w chwili urodzenia. Życie w ulu. Charakterystyka życia. Promieniaki. Rzeczywiste przeobrażenie. Cztery typy zwierzęce. Świadomy duch stworzenia.

— Faleński Felicyan. Sama jedna. Opowiadanie. 8ka str. 200. Warszawa 1877. 1·25.

— Gerson W. Współczesne wizerunki malarstwa. 8ka str. 44. Warszawa. 1876. —45.

— Dzieła Klementyny z Tańskich Hofmanowej. Wydanie nowe pod redakcyą Narcyzy Żmichowskiej z dodaniem życiorysu i objaśnień. Tom XI. 8ka. str. 298. Warszawa. 1877. Cena każdego tomu 2.10.

Tom ten zawiera powieść p. t. Krystyna.

— Jabłonowski Aleksander. Źródła dziejowe. Tom V. Lustracye królewszczyzn ziem ruskich Wołynia, Podola i Ukrainy z pierwszej połowy 17 wieku. 8ka str. 226. Warszawa 1877. 5·50.

Województwa podolskie, bracławskie, kijowskie, wołyńskie od 1615—1636 r. z podziałem na starostwa i z poszczególnem rozpatrzeniem każdego względnie do założenia.

— Dr. Jerzykowski Stanisław. Przewodnik dla felczerów, siostr miłosierdzia i w ogóle dla osób zajmujących się pielęgnowaniem chorych. 8ka str. 148. Warszawa. 1877. 1·90.

Cz. I. O budowie ciała ludzkiego. Cz. II. O pielęgnowaniu chorych. Cz. III. Od 1. O pomocy cyrulicznej. Od. 2. Co czynić wypada w nagłych chorobach ciała? Cz IV. O pomocy w aptekach i przy robieniu leków. Cz V. O chorobach zębów i operacyach na nich wykonywanych. Cz. VI. O piśmiennem zatrudnieniu pomocników.

— Kraszewski J. I. Sekret Pana Czuryły. Historya jeszcze jednego rezydenta wedle podań współczesnych opowiedziana. 8ka str. 181. Warszawa. 1877. 1·25.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— W poniedziałek d. 23. bm. przedstawiają w teatrze na benefis sympatycznej lwowskiej artystki pani Woleńskiej „Intrygę i miłość“ Szyllera. Nie wątpimy, że publiczność licznem zgromadzeniem się da dowody swego dla niej uznania.

— Wyszedł z druku „Rocznik literacki za r. 1875“ poświęcony literaturze, bibliografii i księgarstwu.

— W odcinku Kuryera Warszawskiego rozpocznie się niedługo druk nowej powieści Kraszewskiego „Pod blachą.“ Jest to nazwa pałacyku księcia Józefa Poniatowskiego, przybudowanego do zamku królewskiego w Warszawie.

— P. Edward Lubowski pisze obecnie obszerną trzytomową powieść, której treść będzie w związku z poprzednią pracą autora pt. „Na pochyłości,“ którą Kraszewski bardzo przychylnie ocenił. Nowy ten utwór ma nosić tytuł: „Krok dalej.“

— P. A. E. Bem znany już z kilku studyów literackich, drukowanych w Warszawie, napisał rozprawę o Bohdanie Zaleskim, która będzie pomieszczoną w naszem piśmie.

— P. Ludwik Niemojowski, autor „Obrazków Syberyi,“ napisał jednoaktową komedyjkę pt. „Mąż flegmatyk,“ graną na przedstawieniu dobroczynnem w Warszawie. Krytyka miejscowa przyznaje temu autorowi wiersz gładki, ale ostro ocenia treść i układ. Świeżo zaś grana w teatrze Rozmaitości komedyjka Jordana, autora „Wędrówek Delegata,“ ma być farsą, której jednak nie brak humoru.

— Znany tłumacz Słowackiego p. Juliusz Mien przetłumaczył obecnie na francuskie Lillę Wenedę.

— Pan Henryk Kałussowski, rodak nasz, od dawnego czasu przebywający w Stanach Zjednoczonych, otrzymał od rządu miejscowego polecenie przetłumaczenia konstytucyi tego państwa na język polski.

— P. Teofil Nowosielski wydał w Warszawie zbiorek poezyj p. t. „Grzeszki Parnasowe.“ Są to utwory bardzo niewinne zarówno pod względem treści jak i formy.

— Dr. Lucyan Malinowski objął w Krakowie katedrę filologii słowiańskiej po śp. prof. Sucheckim.

— P. Urban Wareg Massalski został mianowany zwyczajnym profesorem chemii w Leodyum.

— Po powrocie p. Rakiewicz z Poznania, teatr warszawski wystawi „Makbeta“ Szekspira. Przy tej sposobności nadmieniamy, że 50ty zeszyt dzieł znakomitego dramaturga już wyszedł z druku i tym sposobem wydawnictwo to pod redakcyą J. I. Kraszewskiego prowadzone, zostało ukończone.

— Zapowiadane wydawnictwa pism francuskich w Warszawie: jednego dla dzieci, drugiego treści politycznej, nie przyjdą do skutku.

— G. H. Niewęgłowski, zasłużony autor podręczników matematycznych dla młodzieży (Arytmetyka, Geometrya, Trygonometrya, Mechanika rozumowa) pracuje obecnie nad Algebrą elementarną i wyższą, którem to dziełem sędziwy autor chce zaokrąglić kurs nauk matematycznych dla młodzieży.

— Warszawskie Towarzystwo Muzyczne ma zamiar nabyć obszerny gmach dla własnych koncertów i na mieszkania dla zarządu.

— Dyrektorstwo teatru poznańskiego objął p. Doroszyński P. Terenkoczy, dotychczasowy wspólnik, pozostaje w towarzystwie jako artysta.

— Siódmy śpiewnik domowy Moniuszki wyszedł z druku i zawiera 24 numera, pomiędzy którymi znajdują się 4 melodye, napisane do słów Kondratowicza „Pieśń Pustelnika“ słowa z „Dziadów“, „Niepewność“ słowa również Mickiewicza, „Bartek i cietrzew“ słowa Czeczota, i wiele innych znanych utworów poetycznych ilustrowanych przez twórcę „Halki“.

— Na tegoroczną wystawę malarstwa w Paryżu nadesłano 7,923 obrazów! Z tej olbrzymiej cyfry wybrano 2,110, reszta odsądzoną została od konkursu.

— W instytucie Genewskim powzięto myśl obchodzenia uroczystego stuletniej rocznicy Rousseau'a.

— Z Muzeum berlińskiego ukradziono Madonnę Van Eycka. Wyznaczono około 200 zlr. nagrody za znalezienie. Podobno już obraz ten został znaleziony.

— Uczeni angielscy zajmują się obecnie bardzo reformą ortografii, tak zawikłanej w ich rodzinnym języku. Chodzi o to, żeby jak można najwięcej uprościć sposób pisania słów, i dojść do tego, żeby każda litera w każdym wypadku wymawiała się jednakowo. Po dziennikach wywiązała się żywa polemika.

— O konkursie dramatycznym poznańskim czytamy w *Gazecie Toruńskiej* co następuje: Komisya konkursowa zebrała się na pierwsze posiedzenie w przeszłą sobotę. Z piętnastu zaproszonych komisarzy, stawiło się jedenastu. Wybrano przewodniczącym p. Koźmiana, sekretarzem dr. Łebińskiego, przyjęto tryb postępowania, podzielono się na 5 sekcyi i między te rozdano nadesłane sztuki. Następne posiedzenie odbyło się w piątek, 20go kwietnia, na które sekcye pospieszą z swą pracą, przyniosą sztuki wybrane do wspólnego czytania. Lista sztuk nadesłanych: 1. Darmozjady, krotochwila wierszem w 4 aktach. 2. Pokusy, komedya w 3 aktach wierszem. 3. Dla dobra ogółu, komedya w 5 aktach. 4. Winni, dramat w 4 aktach. 5. Kiejstut, tragedya w 5 aktach wierszem. 6. Henryk Walezyusz w Polsce, dramat w 5 aktach wierszem. 7. Arystokracya na lokomotywie, komedya w 3 aktach. 8. Imieniny, komedya w 3 aktach wierszem. 9. Nałęcze i Grzymalici, dramat w 4 aktach wierszem. 10. Księżna Gorysława, tragedya w 5 aktach wierszem. 11. Z wielkiej chmury mały deszcz, komedya w 3 aktach. 12. Nad Bugiem, dramat w 3 aktach. 13. Karyerowicze, komedya w 5 aktach. 14. Kopernik w Bolonii, dramat w 4 aktach. 15. Zygmunt August, dramat w 5 aktach. 16. Egon, tragedya w 5 aktach. 17. Rozamunda, tragedya w 5 aktach. 18. Chrzciny z kłopotami, komedya w 3 aktach. 19. Pozory, dramat w 3 aktach. 20. Chciwcy pokarani, komedya w 5 aktach. 21. Ofiara, dramat w 5 aktach wierszem. 22. Familia, dramat w 5 aktach. 23. Wina odkupiona, dramat w 4 aktach. 24. Książę Igor, dramat w 5 aktach. 25. Jak to źle być niedbałą czyli Ciekawość ukarana, komedya w 5 aktach. 26. Rodzina Krępów, tragedya w 5 aktach. 27. Tragedya uniesień w 5 aktach wierszem. 28. Cele życia, tragedya w 5 aktach wierszem. 29. Verbum nobile albo Trzy wesela, dramat w 5 aktach. 30. Poświęcenie, tragedya w 5 aktach. 31. Praktykant konceptowy, komedya w 3 aktach. 32. Wojewoda Krystyn, dramat w 4 aktach. 33. Królewicz Marko, dramat w 5 aktach. 34. Zygmunt August w kłopotach, komedya w 5 aktach. 35. Strażacy, komedya ze śpiewami w 2 aktach. 36. Monwid, tragedya w 5 aktach. 37. Wieniec pielgrzyma, dramat w 5 aktach. 38. Na własnym gruncie, dramat ludowy w 5 aktach. 39. Ingielburgis, dramat w 5 aktach. 40. Maciej Borek, dramat w 5 aktach. 41. Mieszko i Oda, dramat w 5 aktach.

Oszustwo naukowe.

— Z pomiędzy wszystkich oszustw literackich, najciekawszem niewątpliwie jest to, którego tajemnice odkrywa obecnie jeden z dzienników holenderskich *Nederlandsch Spectator*. W r. 1872 uczony znawca starego fryzyjskiego języka, ogłosił tłumaczenie nadzwyczajnego dzieła, którego rękopis świeżo odkryty dosięgał roku 1256, a nawet 803. Cztery lata później wyszło nowe wydanie Oera Lindy (tak się zwała owa książa, od nazwiska rzekomego autora), tą razą po angielsku z dodatkiem tekstu oryginalnego. Uczeni długo łamali głowy nad szacownym zabytkiem i uznali, że był pisany w starym fryzyjskim języku, że opowiadał dzieje fryzyjskie począwszy od Igo wieku naszej ery, że papier jego pochodzi z fabryk hiszpańskich, z pewnej oznaczonej epoki, i że jest przygotowany według przepisu chińskiego przeniesionego do Europy przez Arabów. Rękopis znaleziono u pewnego biedaka, dawnego majtka, w którego rodzinie znajdował się on od wielu wieków, prawdopodobnie od samej chwili napisania, ponieważ biedak ów nazywał się Lind, a autor owej kroniki używał nazwy „Linda.“ Lind zachwycony był wiadomością, że posiada taki skarb i miał upodobanie w tem, że filologowie tłumaczyli mu urywki z jego starego zeszytu, z którego jak mówił nie był w stanie ani jednego słowa zrozumieć, okazywał zdziwienie i radość nieograniczoną, słuchając objaśnień erudytów. W chwili jego śmierci, która nastąpiła w r. 1873, rodzina weszła do pokoju majtka, za życia nikomu niedostępnego. Wszyscy byli zdziwieni, znalazłszy w nim stare foliały, lecz instynktownie zatrzymali to odkrycie w tajemnicy, Przed 3ma miesiącami tajemnica rozjaśniła się. Stary Lind posiadał całą bibliotekę dotyczącą języka i dziejów fryzyjskich i on to sfabrykował dzieło „Oera Linda“ na papierze pochodzącym z fabryki Maestrichtskiej. Całą jego przyjemnością było wprowadzenie w błąd uczonych. Zabawka ta była jedyną jego uciechą.

Nekrologia.

— W Wilnie zmarł dnia 5 kwietnia dr. Józef Jundziłł, zwyczajny profesor botaniki na b. uniwersytecie wileńskim, urodzony w r. 1790. Znakomity ten przyrodnik był wychowańcem wszechnicy wileńskiej a po ukończeniu studyów wyszedł ze stopniem magistra nauk przyrodniczych. Jako uczeń celujący kosztem uniwersytetu wysłany został na lat cztery do znakomitszych wszechnic zachodniej Europy, a po odbytych studyach w Hali, Paryżu i Londynie wrócił do kraju wzbogacony obfitym plonem wiedzy, gdzie zajął katedrę botaniki i mineralogii, Oto na razie krótkie szczegóły z życia tyle zasłużonego męża, co przez długie lat dziesiątki pracował dla nauki i kraju.

— Karol Pieńkowski, autor „Garbuska,“ „Sceny za sceną“ i innych w swoim czasie popularnych utworów, zmarł w Warszawie w szpitalu.

ROZMAITOŚCI.

— Już było dawno po północy, a jeszcze goście, ani myśląc o rozejściu, zatrzymywali pana młodego wśród wrzawy toastów i muzyki weselnej. Nareszcie się wyrwał i schodami bocznemi wbiegł do garderoby. Było to w Paryżu, zdarzenie prawdziwe.

Zapukał do drzwi. — „Proszę“ — odpowiedziano, i oblubieniec prędko otworzył. Ta, którą od kilku go-zin

miał prawo nazywać swoją, siedziała cała w bieli w fotelu; młodzieniec rzucił się przed nią na kolana i ściskając jej ręce w swych dłoniach: „to sen, to istny sen, powtarzał; — czyż to prawda... jesteś więc moją?...“ — „Rzeczywiście, zakrawa to na sen nieco“ — odpowiedziała młoda kobieta z uśmiechem — „lecz pomimo tego jest to tak prawdą, jak to, że wczorajsza lady Melvil dziś się nazywam panią de la Tour.“ — Frydryk de la Tour, ciągle jakby nie dowierzał, i prawdę mówiąc, było czego niedowierzać, chociaż młoda mężatka wciąż mu szeptała: „Sen nie sen, ale prawdziwą historyę opowiem ci mój drogi... Frydryk, lat dwudziestu siedmiu, z dobrej familji, zmuszony był ciężko pracować, jako urzędnik w jednem z ministerstw za 2000 franków rocznie. Ani marzył o ożenieniu, a tem bardziej tak świetnej partyi, jaką zrobił. Przed miesiącem szedł razu pewnego ulicą Saint-Honoré, wtem ujrzał śliczny powóz pędzący jak strzała; raptem konie stargły jak wryte, otworzyły się drzwiczki karety i młoda śliczna twarzyczka, wychyliwszy się z okna powozu, zawołała wyraźnie na niego: „Panie, panie!...“ Zdumiony podszedł, a ta mu prędko rzekła: — „Siadaj pan ze mną.“ Frydryk porwany urokiem młodej kobiety, sam nie wiedział jak w jednej chwili znalazł się na miękkich poduszkach; wygalonowany strzelec zatrzasnął drzwiczki i konie ruszyły. — „Wybacz mi pan, że go tak porywam“ — zawołała wesoło, gdy konie ruszyły; — „odebrałam wprawdzie bilecik pański, w którym przepraszasz, że nie możesz być u mnie jutro wieczorem, ale jeszcze nie tracę nadziei...“ — „Ja, bilecik?...“ — zawołał Frydryk zdumiony. — „Ależ tak, pan pisałeś... Ach, mój Boże — zawołała wtem nagle młoda kobieta. — Przepraszam, bardzo przepraszam... Ale podobieństwo jest tak uderzające, że... że doprawdy zdało się mi, że pan jesteś pewnym panem, który miał być u mnie jutro na proszonym obiedzie...“ — tłumaczyła się cała zakłopotana. Wtem powóz wjechał na dziedziniec otoczył klomb duży i stanął przed gankiem pysznego pałacu. Frydrykowi nie wypadało jak tylko podać rękę pięknej pani, która się okazała wdową po lordzie Melvil i wprowadzić ją na schody. Krótko mówiąc, Frydryk nie tylko wprowadził na schody, lecz znalazł się niebawem w salonie, znajomość została zawiązaną, począł bywać, zakochał się i lady Melvil wkrótce tama się oświadczyła, a w miesiąc potem ślub się odbył, — „Siadaj koło mnie, opowiem ci prawdziwą historyę, a nie sen jakiś — rzekła wzruszona młoda mężatka i tak poczęła: — Przed kilku laty mieszkała w Lugdunie pewna majętna rodzina; dobrze się powodziło długo, lecz wypadki roku 1870 zniszczyły ją kompletnie, majątek przepadł, zostały tylko długi. Ojciec chcąc poprawić interesa, przeniósł się z żoną i jedyną córką, której wtenczas lat piętnaście było, na mieszkanie do Paryża. Doświadczył wszakże niebawem, że gdy komu pocznie się niepowodzić, na nic wtedy starania, rozum i praca i zabiegi wszelkie. Ojciec umarł ze zgryzoty, zostawiając żonę i córkę bez środków do życia. Kobietom wkrótce zabrakło na wszystkiem; za mężem poszła żona; zgryzota ją zabiła, została córka, sama jedna, piękna i na wszelkie pokusy miasta wielkiego wydana. Miała wtedy lat ośmnaście, mieszkała na poddaszu, napróżno szukała pracy; stary siennik i to co miała na sobie, oraz wypłowiały, podarty stary szal matki, stanowiły cały jej majątek, całe umeblowanie poddasza. Walczyła z nędzą dopóki mogła, ze wzgardą odrzucając niecne propozycye; nie skarżyła się przed nikim; mieszkańce kamienicy znali ją, domyślali się jej okropnego stanu, lecz ani jedna żywa dusza nie zainteresowała się bliżej jej położeniem. Przyszło nakoniec do tego, że trzy dni nic nie miała w ustach. W rozpaczy przyszła jej myśl, że byle dostać choć jednę sztukę złota, to zdoła życie podtrzymać, kupić płótna, batystu kawałek, usiąść, zrobi coś pięknego i sprzeda, i mało po mału podźwignie się z nędzy. Drżąca i blada, otuliwszy się starym szalem matki, wychodzi tedy o zmroku ze swego poddasza, staje na ulicy pomiędzy kolumnadą pewnego gmachu i poczyna żebrać, udając starą zgrzybiałą kobietę. Dłoń swą prawą, umyślnie obwinęła końcem szala, by ten kto dałby jej jałmużnę, nie poznałby przypadkiem, chociaż przy świetle latarni, że to dłoń młoda i ładna. Kryjąc się między kolumnami, by policyant nie zoczył jej, bo żebrać publicznie nie wolno, młoda dziewczyna ciągle otulona szalem, aby jej twarzy nie mógł nikt zobaczyć, napróżno długi czas, omdlała prawie ze wstydu i głodu, wyciągała swą rękę do przechodniów. Ten zbył ją niczem, ów zaklął, trzeci powiedział: niech Bóg dopomoże i także obojętnie ruszył dalej w drogę, aż nareszcie nadszedł jakiś młodzieniec, o rysach szlachetnych i pełnych dobroci, podał kilka susów i chciał odejść, lecz spostrzegłszy, że nieszczęsna żebraczka „stara“, była drżąca i ledwie ustać na nogach mogła, przystanął nagle, sięgnął do kamizelki, dobył napoleondora i rzekł głosem łagodnym: „weźcie i to jeszcze..“ — „Pani!...“ — zawołał Frydryk, jakby coś przypominając sobie. — „Nie przerywaj, mi proszę“ — odrzekła pani de la Tour i tak dalej ciągnęła: Zaledwie nieznajomy młodzieniec odszedł kilka kroków, rzucił się na żebraczkę policyant, który zdaleka widział całą tę scenę, porwał żebraczkę za ramię i chciał aresztować. Na jęk i modły żebraczki, wypraszającej się z rąk policjanta, nadbiegł znów młodzieniec, wziął ją pod rękę, i rzekł do policyanta: „Ta pani jest moją znajomą i ze mną idzie; nie dawałem jej jałmużny“ — i poszedł z żebraczką. Była tak znużona, że zaledwie iść mogła. Po drodze przyznała się, że od dni kilku była głodną. Szła za młodzieńcem machinalnie. Nie śmiała powiedzieć gdzie mieszka, w obawie, by nieznajomy nie dowiedział się od stróża, kim jest biedna dziewczyna. Udawała ciągle starą, nie odkrywając oblicza. Nieznajomy blisko mieszkał, zaprowadził ją do siebie, na czwarte piętro do pokoiku ubogiego i zajął się czem prędzej przyrządzeniem posiłku. Żebraczka wypiła filiżankę bulionu nie odkrywając oblicza i wyszła powoli...— „Pani, co to jest?... Zofio, więc to ty byłaś?“— zawołał Frydryk w wzruszeniu, i w głowie mu się mąciło. — „Nie przerywaj, mi drogi...“ — odrzekła Zofia i dwie łzy błysnęły w oczach, szafirowych — „nie przerywaj mi drogi“ — i objęła marmurowemi ramiony szyję młodzieńca, usiadła mu na kolanach i złotem tkane pantofelki spadły z nóżek bosych—„nie przerywaj mi drogi... o jak kochała żebraczka młodzieńca!... — szeptała Zofia, ukrywszy rozpaloną twarzyczkę na piersiach męża, — kochała bardzo... i poprzysięgła już wtedy — a coś jej mówiło, że będzie szczęśliwą i bardzo bogatą — i poprzysięgła już wtedy, że wiecznie kochać będzie i należyć do ciebie, tylko do ciebie... boś to ty był tym szlachetnym młodzieńcem!...“ — zawołała Zofia — „i oto twój napoleondor!...“ To mówiąc, Zofia rozpięła koszulę i pokazała na piersiach zawieszony pieniądz w jedwabnym woreczku, na wierzchu którego wyszyta była data: 15 maja 1873 roku. Szczególnym trafem, był to dzień mojej patronki“ — mówiła Zofia. Frydrykowi ciągle się zdawało, że śni jeszcze; widział w tem cud jakiś; nie mógł pojąć, jak bogata lady Melvil mogła być żebraczką; nie umiał pogodzić starej żebraczki z widokiem młodej, ślicznej dwudziestojedno letniej kobiety, która mu wciąż na piersiach szeptała słowa miłości i szczęścia. —„Zaraz wszystko zrozumiesz, wszystko ci opowiem... O, ja raz tylko, doprawdy raz tylko wyciągałam rękę! Czy przebaczysz mi to mój drogi? Gdym wyszła od ciebie, wróciłam do siebie, do swego poddasza; poprzysięgłam zaraz, że nigdy nie rozstanę się z twoją jałmużną, nie nigdy nie zapomni serce moje o tobie... Po drodze za dane mi przez ciebie miedziaki, kupiłam nieco pożywienia i po raz pierwszy od kilku miesięcy zasnęłam szczęśliwa, miotana przeczuciem, że nieszczęście moje już się skończyło. I istotnie. Spałam jeszcze nazajutrz, gdy, lekkie do drzwi pukanie obudziło mię nagle. Otworzyłam — do izdebki weszła piękna staruszka, widocznie wielka pani. Na widok otaczającej mię nędzy wyraz litości głębokiej przebiegł po zwiędniałych licach. Słyszała ona od ludzi o mem sieroctwie, o mem okropnem położeniu, o mem... o mej cnocie dziewiczej i oto przyszła wyrwać mię z tego położenia. Przyjęłam pomoc z wdzięcznością; cóż miałam robić?... Dzieci ta pani nie miała; mogłam być jej pomocną. Wkrótce byłam w jej domu jak w swoim. Między innemi, bywał u niej pewien stary Anglik, lord Melvil. Opiekunka moja opowiedziała mu o mej historyi. Zajęło to lorda starego; począł częściej bywać i coraz stawał się więcej zamyślonym. Pewnego poranku przyjechał w białym krawacie, z miną uroczystszą jak nigdy. Udał się do drugiego pokoju z moją opiekunką, po kwadransie wrócił do salonu, gdziem była i oddawszy mi głęboki ukłon, jak przed królową, rzekł: „Za wiadomością i zezwoleniem opiekunki pani, mam zaszczyt prosić panią o jej rękę.“ Zrazu nie wiedziałam co odpowiedzieć, lecz gdym ochłonęła, podziękowałam lordowi za honor. Lord nalegał; opowiedziałam mu wtedy szczerze cały mój wypadek z tobą, tj. że kocham nieznajomego i że poprzysięgłam być niczyją jak tylko tego nieznajomego; w razie jeśli mi Bóg go pozwoli odszukać a ten będzie mię kochał. Lord w milczeniu się oddalił, lecz oddalając się, upraszał, by mógł się ze mną rozmówić za dni kilka. Tymczasem opiekunka moja, poczęła nalegać, bym nie odrzucała propozycyi lorda. Zjawił się lord w dni kilka potem, i znów się oświadczył, mówiąc że robi dobry uczynek. Nalegał, bym wyszła za niego; nie miał dzieci, miał bratanka, który czyhał na spadek. To go oburzało. Bratanek mógł odziedziczyć z prawa, tytuł i dobra ziemskie, lecz lord nie chciał, by odziedziczał zarazem 25 milionów franków kapitału. Obiecał mi odszukawszy ciebie wziąć rozwód. „Za szczerość pani, szanuję ją więcej jak przedtem“ — rzekł w końcu. Możeż, możeż mieć nadzieję, że raczysz pani dopomódz starcowi dokonać przed śmiercią dwie piękne rzeczy: ukarać chciwość z jednej strony a wynagrodzić dobroć i wdzięczność z drugiej?... Mogęż się spodziewać?...“ — lord mówił, i sama już nie wiem, jak cała we łzach padłam do nóg zacnego starca, całując ręce jego. Za tydzień nazywałam się już żoną jego. Było to w jesieni roku 1875. Natychmiast lord pierwszy zajął się odszukaniem ciebie, mój drogi — kończyła Zofia — ale na nieszczęście, wszelkie poszukiwania nasze, spełzły na niczem. Wychodząc od ciebie, nocy tej pamiętnej, byłam tak wzruszoną, żem niepomyślała o popatrzeniu na numer domu twego. Nadaremne były wszelkie usiłowania lorda odkryć kto jesteś. Wyjechaliśmy do Anglii, by uregulować testament lorda. W Anglii zachorował i skonał na mem ręku. Nie taję, że opłakiwałam szczerze śmierć jego. Wróciłam czemprędzej do Francyi i rozpoczęłam znów poszukiwania. Tym razem szczęśliwie. Zaledwiem wysiadła z wagonu wracając z Anglii przed trzema miesiącami, pierwszą osobą którą spostrzegłam, byłeś ty Frydryku. Zbladłam — aleś ty tego nie uważał jak też nie zwracałeś uwagi, żem śledziła twe kroki. Kazałam jechać za tobą, tym sposobem znalazłam twe nowe mieszkanie, dowiedziałam się kto jesteś, i nareszcie... czy wybaczysz mi mój drogi, niewinnego podstępu, jakiegom użyła przed kilku tygodniami, porywając cię do mej karety?...

Od Redakcyi.

Pani K. L. w Dukli, i innym którzy nadesłali prenumeratę w kwocie 3.50. Upraszamy o nadesłanie jeszcze 90 ct. jako resztę należytości.

Pani Z. K. w Ropczycach i innym. Dzieła Jeża dalej wychodzić nie będą, a z nadesłanej kwoty 1.60 ct. przepisujemy na następny kwartał „Tygodnia.“

Panu G. K. w Tarnopolu. Poprzedni wydawca zamierzał dodawać bezpłatnie ilustracye, atoli pod warunkiem, jeżeli liczba prenumeratorów „Tygodnia“ podniesie się przynajmniej o 500. Gdy jednak to nie nastąpiło, musiał wstrzymać dodatek z ilustracyj jako zbyt kosztowny, a jak się okazało nie praktyczny. Co do premij przez nową redakcyą ogłoszonych, czytelnicy są z ogłoszeń poinformowani.

Treść Nr. 33.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). **Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.**